

Magazyn
Polskiego

TATERNIK

Związku Alpinizmu ISTNIEJE OD 1907 ROKU

4

2000





Spis treści

Widziałem kondory	1
Dookoła Białej Góry	5
Główna grań Tatr, pierwsze przejście	8
Madagaskar, wspinanie w raju . . .	13
Dwieście miejsc przy stole	14
Wolontariat w CCNP	16
Pięćdziesięciolecie Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto”	19
Zobaczyć klify	20
Gra w słowa	22
Strome śniegi Shisha Pangmy . . .	24
Pięćdziesięciolecie Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu	25
Polska zima na Makalu	26
Jaskinie i speleologia	27
Akcesoria	29
Hejzowina, przewodnik wspinaczkowy	30
Kronika towarzysko-filmowa	31
Licencje instruktorskie 2001	32
Pozwanie PZA do sądu	33

Zdjęcie na okładce:

Prawdziwa tatrzańska zima

Fot. Marcin Kozioł

Zdjęcie obok:

Na Zachodniej Ścianie Kościelca wspina się Jan Muskat

Fot. Krzysztof Stańczyk

Jerzy Truchanowicz

Widziałem kondory

„...człowiek potrafi więcej, niż jest w stanie sobie wyobrazić, jeśli się odważy. Zwykle nie odważamy się, bo rzeczy są trudne; one są trudne dlatego, że się nie odważamy”.

Jan Surdel

(alpinista, operator filmowy, dziennikarz)

Kiedy rok temu wycofywałem się spod najwyższej góry obu Ameryk, miałem uczucie pustki oraz żalu, że tyle przygotowań i kosztów poszło na marne. Trudno jest wyjaśnić, że przed szczytem nagle zawracamy. Wielu nie zdaje sobie sprawy, jak człowiek może być bezsilny wobec wiatru, śniegu, mrozu. Opady śniegu były tak duże, że trawers podszczytowy był niemal pewnym miejscem na zejście lawiny. Tak też się stało. Zginął Koreańczyk, a jego kolega został mocno poturbowany.

Wróciłem do trzeciego obozu i w huraganowym wietrze przetrwałem jeszcze dwa dni. Zapasy żywności były na wykończeniu, a nie było nadziei na poprawę pogody. Nie pozostało nic, jak zwinąć namiot i zejść. Mogłem się tylko pocieszać, że może jeszcze wrócę i od pierwszego dnia po przyjeździe zacząłem przygotowania. Wiem, jak ciężko jest zdobyć zaufanie ewentualnych sponsorów po porażce. Czy rzeczywiście pogoda przyczyniła się do odwrotu, czy nasza słabość?

Na dziesiąte piętro w górę i w dół

Łatwiej byłoby ogłosić, że przebyte ostatnio choroby były przyczyną porażki. Zachorowałem w 1997 roku i choroba wyłączyła mnie z życia na



Jerzy Truchanowicz w drodze do bazy

rok i trzy miesiące. Byłem sparaliżowany, przeszedłem operację kręgosłupa i byłem unieruchomiony w gipsie przez cztery miesiące. Po upływie czterech miesięcy od zejścia gorsetu wszedłem na Mont Blanc (4807 m n.p.m.) i w niecały rok później próbowałem wejść na Aconcaguę (6959 m n.p.m.). Wyprawa zaplanowana na początek stycznia 2000 r. do ostatnich dni stała pod znakiem zapytania. Część sponsorów zawiodła. Głównym sponsorem była firma zaopatrująca osoby niepełnosprawne w sprzęt medyczny. Jak zwykle na każdą moją wyprawę Spółdzielnia Mleczarska „Mlekovita” przygotowała zestaw wyrobów mleczarskich. W tych skrajnie różnych warunkach temperaturowych produkty te nie traciły swych walorów smakowych. Byłem mile zaskoczony pomocą kolegów klubowych, którzy z własnych, nieraz skromnych, poborów wsparli wyprawę. Kondycję zdobywałem w co-

dziennych marszach po około 10-15 km i bieganiem po schodach na dziesiąte piętro w górę i w dół.

Kiedy 6 stycznia wylądowałem w Santiago, stolicy Chile, nie mogłem uwierzyć, że jestem tu po raz drugi. Upał około +35 st. C nie pozwalał nawet myśleć. Musiałem dotrzeć do centrum i hotelu. Miałem trzy plecaki o wadze około 50 kg. Pierwszą próbę formy przeszedłem, gdy nie mogłem się porozumieć z taksówkarzami co do ceny za kurs. Postanowiłem donieść cały bagaż na własnych plecach (2 km). Na drugi dzień zrobiłem niezbędne zakupy i autobusem przez Andy pojechałem do Argentyny.

„No problem, gringo!”

Autobus wjeżdża na przełęcz powyżej 3 tysięcy metrów, pokonując mnóstwo karkołomnych zakrętów. Wreszcie dojeżdżam do punktu granicznego z Argentyną i po licznych, uciążliwych kontrolach granicznych (łącznie z prześwietlaniem bagaży) ląduję w Punta Del Inca (Most Inków) – 2719 m n.p.m. Stąd ruszają karawany do bazy. Tu okazuje się, że pozwolenie wejścia na szczyt można kupić tylko w stolicy prowincji, w Mendozie, około 250 km na wschód od granicy. Rano łapię ciężarówkę wiozącą jakieś rury. Kierowca ma typowo latynoski temperament. Trzyma jedną ręką kierownicę, a drugą CB radio, i cały czas rozmawia z kolegą, który jedzie za nim. Niektóre zakręty pokonuje z szybkością 100 km/h. Na prostych odcinkach jeszcze więcej. Widzi, że robi to na mnie wrażenie i z uśmiechem komentuje: „No problem, gringo!”. W Mendozie, z trudem porozumiewając się w języku hiszpańskim, załatwiam pozwolenie wejścia na szczyt (120 \$). Na dworcu autobusowym okazuje się, że tego dnia nie ma już połączenia do Punta Del Inca. Po około dwóch godzinach widzę rozklekotaną taksówkę marki „Chevrolet” z wielkim napisem „NEVADA” i rejestracją Chile. Wsiada z niej dziadek w podeszłym wieku. Pytam się, czy wraca do Chile, majestatycznym głosem odpowiada: „Si, si, jak będzie komplet”. Podróżujemy szybko – dziadek ma jeszcze więcej temperamentu niż poprzedni kierowca. Zbliżając się do Puente Led Ina w popołudniowym słońcu, na tle chmur dostrzegam nagle szybujące cztery kondory. Widzę ich potężne skrzydła i jest to optymistyczny akcent na koniec dnia. Wiem, że muszę wejść wyżej.

Kamień wielkości lodówki

Po targach zaczynam swoją wędrówkę do bazy na wysokości 4300 m n.p.m. z plecakiem około 25 kg na plecach. Pomocne przy wędrówce okazują się kije narciarskie. Czuję, że w porównaniu do zeszłego roku idzie mi się lepiej i po ośmiu godzinach zatrzymuję się na biwak. Jestem na około 3800 m n.p.m. Wieczorem temperatura spadła do



Do bazy już niedaleko

około 0 st. Na drugi dzień pozostaje około 5 godzin do bazy. To jednak bardziej stromy odcinek. Po obiedzie docieram do bazy, gdzie znajduje się sporo wypraw z różnych krajów. Ja jestem sam. Odbieram bagaż z depozytu i wiem, że teraz muszę to wszystko wnieść na górę sam. Zdaję sobie sprawę, że aby to zrobić muszę każdy odcinek pokonać dwukrotnie lub więcej. Niepokoją mnie chmury, które pojawiają się nad Andami. Pierwsza noc jest ciężka – uciążliwy ból głowy. To brak aklimatyzacji. Na drugi dzień wyruszam z depozytem żywności i sprzętu w górę. W trakcie drogi postanawiam wnieść to bezpośrednio do obozu trzeciego na 5500 m n.p.m., pomijając pierwszy i drugi obóz. Tempo mam dobre i w trzecim obozie jestem po południu. Chowam w skafach worek, zabezpieczam go i ruszam w dół do bazy. Będąc już w pobliżu ostatniego odcinka zejściowego, cudem unikam śmierci. Ktoś spuścił kamień na wysokości pierwszego obozu. Kamień wielkości lodówki z impetem minął mnie w odległości 1-2 m. Poczuję tylko pęd powietrza i usłyszałem świst, gdy mnie minął.

Muszę trzymać maszty

W bazie gotuję obiad razem z kolacją i rozważam taktykę wejścia. Chmury gromadzą się coraz bliżej i przeraża mnie myśl o kolejnym załama-

Raki trzymały dobrze

niu pogody. Zwykle w bazie większość ludzi spędza 5 nocy, zanim wyruszy w górę. Muszę zaryzykować i skrócić ten czas. Nocowałem w tamtym roku na 5500 m n.p.m., więc mam więcej szans na łagodniejsze przejście aklimatyzacji. Po trzech nocach w bazie ruszam z resztą bagażu i namiotem prosto do obozu trzeciego. Wieczorem pojawia się ból głowy. Biorę tabletki, nie przynoszą ulgi.

Przebudzenie jest okropne. Nie mogę otworzyć powiek, gdyż są spuchnięte. Przy najmniejszym ruchu głowy pojawia się ostry ból. Postanawiam przeczekać do obiadu. Jeśli nie przejdzie, zdecydowanie muszę zejść niżej. Gotuję wodę, robię jedzenie i wreszcie wychodzę z namiotu. Wiem, że noc będzie ciężka. Wiatr wywiewa ciepło z namiotu. Mam śpiwór puchowy, buty puchowe i kurtkę, jednak ciągle czuję zimno. Wsuwam pod karimat plecak. O śnie nie ma mowy. Wiatr jest tak mocny, że maszt z włókna szklanego gnie się aż do ciała. Wszędzie się wciska wulkaniczny, czerwony piasek. Topię śnieg zgromadzony w worku i piję coś, co ma przypominać herbatę. Trzeba wypić około 4-5 litrów na dobę, by organizm funkcjonował w miarę normalnie. Przyrządzenie takiej ilości płynu zabiera mnóstwo czasu. Ciągle myślę, co będzie, **gdy pogoda się załamie jak rok temu.**

Siła wiatru zwiększa się po północy. Wiem, że muszę trzymać maszty. Nad ranem podejmuję decyzję: muszę uwiązać namiot do skał. Mam sznurek. Wychodzę i walcząc z wichurą uwiązuję go do kamieni. Jest już 5 rano i wreszcie umęczony zasypiam. Budzę się w południe. Jem posiłek i szybko pakuję sprzęt do plecaka. Mimo wiatru wyruszą do czwartego obozu. Marznę po drodze, ale po trzech godzinach docieram na wysokość 5800 m n.p.m. Stąd wycofałem się w zeszłym roku. Zrzucam plecak w skały i szybko wracam do obozu trzeciego. Postanowiłem, że jeśli noc minie bez bólu, to zwijam się i przenoszę wszystko do obozu czwartego. Na drugi dzień o 10 wyruszą i po trzech godzinach znajdują się w ostatnim obozie. Pogoda jest lepsza i pojawia się słońce. Tu już wiem, że będzie to ostatnia noc przed atakiem na szczyt. Do szczytu jest jeszcze 1100 m. Noc, mimo iż bez bólu, spędzam bezsennie. Chyba zbyt dużo myślę o jutrzejszym dniu. Wstaję o 5.30 i włączam maszynkę gazową. Jest bardzo zimno, straciłem apetyt i nie wiem, co mogę zjeść. Na samą myśl o posiłku dostaję skurczy wymiotnych. Zjadam zupę w proszku i rozkruszoną bułkę. Popijam „herbatą”. Biorę ze sobą dwa litry płynu i dwa batony czekoladowe.

Wyruszą o 7.30 i wkrótce zimno daje o sobie znać. Mam drętwe trzy palce lewej ręki oraz piętę. Temperatura wynosi około -15 st. C, jest duży wiatr. Czuję, jakby wewnętrzne rękawice były zbyt ciasne. Nie mam jednak możliwości zdjęcia ich i rozmasowania rąk. Zostawiam to na postój na przełęczy Independence 6500 m n.p.m. Tu jednak wiatr osiąga siłę potwora. Muszę założyć kominiarkę, bo marzną mi policzki, wyciągam kurtkę puchową. Jedyna myśl to uciekać z tej przełęczy. Szczyt jest blisko i tempo mam dobre. Wiem, że zaraz będzie trawers. Mijam trzech Włochów i pierwszy wchodzi w zalodzony odcinek trawersu. Raki trzymają dobrze, a czekana używam tylko do asekuracji. Po trawersie zostaje ostatni odcinek do szczytu (400 m) o wdzięcznej nazwie „Canaleta”. Tu wreszcie okazuje się, że **zaczęły się schody.** To gardziel otoczona stromymi skałami, wypełniona luźnym, powulkanicznym piachem, najeżona kamieniami. Większość kamieni jest niestabilna. Poruszanie się po nich wygląda jak **plywanie muchy w smole.** Są momenty, gdy po trzech krokach i osunięciach



Aconcagua

muszę zrobić parę głębokich oddechów, by dalej ruszyć. Te 400 m zajmuje mi cztery godziny. Pod szczytem wyprzedza mnie Meksykanin, który wykorzystuje płyty śniegu zalegające tam i przyspiesza, mając na nogach raki. Decyduję się, że dojdę już bez zakładania ich.

Dochodzę wreszcie do krawędzi i o godz. 14.00 jestem na szczycie. Czas mam dobry, około 6 godzin od wyjścia. Robię zdjęcia panoramy i za chwilę zostaję sam. Próbuję robić sobie zdjęcia ze statywu, ale wiatr wywraca aparat. Po godzinie pojawiają się Norwedzy. Robią mi parę zdjęć i zbieram się do zejścia. Trzeba uważać, by nie zrzucić czegoś na osoby, które jeszcze wchodzi. Po przejściu

trawersu można wreszcie przyspieszyć. Po 4 godzinach wchodzę do namiotu. Wiem, że najpierw muszę przynieść lód, z którego wytopię wodę. Z lodowczyka wyrąbuję cały worek i rzuca pod namiot.

Wchodzę do śpiwora i mam wrażenie jakbym był w domu. Jest „ciepło” i mogę leżeć. Włączam maszynkę i wiem, że przez następne dwie godziny będę topił lód. Muszę wypić swoją normę, choć najchętniej bym już spał. Nie mam siły zajmować się posiłkiem. Zostawiam to do rana. Śniadanie jem o 6.00 i zwiżam namiot. Trzy palce są trochę opuchnięte i odrętwiałe. Muszę dziś zejść do bazy i znieść to wszystko. Niosę duży ciężar i posuwam się wolno.

W bazie jestem po południu. Mocno zmęczony, ale z uczuciem spokoju, że mam to za sobą.



Ryszard Pawłowski

Cho-Oyu 2000

Na przełomie września i października w Tybecie działała wyprawa poprowadzona przez Ryszarda Pawłowskiego. 4 października na szczycie Cho-Oyu (8201m) weszli Ryszard Pawłowski i Dariusz Zułuski, a 5 października zdobył szczyt następny uczestnik wyprawy Eugeniusz Chomczyk z Białegostoku, obecnie mieszkający w Nowym Jorku.

Dla Genka Chomczyka był to pierwszy wyjazd w Himalaje i pierwszy szczyt 8-tysięczny (duże brawa!). Dla Darka z kolei był to drugi zdobyty szczyt 8-tysięczny, podobnie jak Gasherbrum II w roku '97 zdobyty z Agencją Patagonia.

W wyprawie brali też udział: Ryszard Kowalewski z Warszawy, Jack Jakobczyk z Toronto oraz Serb Pavle Milosevic.

Jedyna myśl to wymyć się i wypić piwo. Na drugi dzień po dziewięciu godzinach marszu w dół okropnie zmęczony docieram do Punta Del Inca. Wreszcie koniec wyprawy. Wracam do Santiago i stąd postanawiam polecieć na koniec kontynentu, do Patagonii. Planuję dotarcie pod Cerro Torre i Fitz Roy (jedne z najtrudniejszych ścian wspinaczkowych na świecie). Chcę jedynie popatrzeć na to z bliska. Gdy odlatywałem z Punta Arenas, z samolotu widać było zarys Ziemi Ognistej. Jeszcze raz będąc w Patagonii miałem okazję podziwiać szybujące kondory na tle Fitz Roya.

Po powrocie do kraju dostałem wiadomość od kolegi z USA, że jest planowana wyprawa we wrześniu na Cho Oyu (8202 m n.p.m.) w Himalajach...

Strzał dziesiątką

Ama Dablam (6856 m) – piękny, najczęściej pokazywany na zdjęciach i plakatach, a także miejscowej walucie szczyt Nepalu, leżący w bezpośrednim sąsiedztwie Mt. Everestu był celem działania naszej 13-osobowej grupy.

Dla młodych był szansą zdobycia niezbyt łatwego prawie siedmiotysięcznego szczytu leżącego w samym sercu Himalajów, dla starszych i bardziej doświadczonych okazją do przeżycia przygody we wspaniałej górskiej scenerii.

Wyprawa odbyła się w sezonie jesiennym, 28 października – 12 listopada 2000 r. Akcja przebiegała szybko i sprawnie, jak zawsze wtedy, gdy młodość i entuzjazm przemieszane są z rozwagą i doświadczeniem. I chociaż niechętnie wychodziliśmy w górę, myśląc o pozostawionym w bazie puszkowanym piwie i doskonałych potrawach przyrządzanych przez naszego kucharza Kalu, to prawie w komplecie pełną dziesiątką stanęliśmy na szczycie: Sylwia Bukowicka – 22-letnia gorzowska Gwiazda Polarna, Marcin Nowaczyk i Maciej Sokółowski – młode poznańskie Koziołki, Mikołaj Czyżewski, Ryszard Knapczyk i Jan Orłowski – doświadczony krakowski Lajkoniki oraz Jared Coburn, Devid Snow i Leslie Rees – klienci ze Stanów, mający na rozkładzie ostre drogi w Yosemitech i górach Kanady. Całością kierował i przy okazji wszedł na szczyt po raz 12. Ryszard „Napał” Pawłowski.

Ryszard Pawłowski

Dookoła Białej Góry



W październiku 1999 r. okrążyłam Dhaulagiri. Trek dookoła Białej Góry (sanskryt: dhavala – biała i giri – góra) jest długi, trudny, wysoki i bardzo piękny. Prowadzi od poletek, dzungli i bambusów, przez śniegi i mrozy, z powrotem do ciepła i gorących źródeł w Tatopani. Trek trwał 18 dni – w tym dwa dni odpoczynku, jeden w bazie pod Dhaulagiri a drugi w wiosce Marpha, już po zejściu do doliny Kali Gandaki. Pogoda nam dopisała, tylko w górze mieliśmy 5 dni ze śniegiem i mrozem (do -20°C). Zarówno niższe jak i wyższe partie trekku są bardzo malownicze i podczas całego trekku mieliśmy wspaniałe widoki.

Okrażanie Dhaulagiri uważane jest za wymagający, długi i stosunkowo rzadko uczęszczany trek. Brak infrastruktury powoduje, że albo trzeba samego nieść potężne ładunki, albo korzystać częściowo z pomocy tragarzy lub załatwić sobie „wikt i opierunek” w agencji turystycznej.

Janusz Kurczab w swoim przewodniku zamieszcza dokładny opis trekku. Natomiast nawet w ostatnim wydaniu przewodnika Stana Armingtona (Lonely Planet), trek dookoła Białej Góry skwitowany jest jednym krótkim paragrafem. Wynika z niego, że trek jest długi, trudny i wysoki, prowadzi przez śniegi i lodowiec, przez dwie wysokie przełęcze i Nieznaną Dolinę; jednym słowem z opisu „wieje grozą”. Byliśmy więc zaskoczeni, że równoległe z nami szły dwie duże grupy: austriacka i francuska, czwórka Amerykanów, piątka Niemców oraz kilku Czechów.

Na trek wyruszyłam z Andrzejem Stawińskim (pseudonim taternicki – „Negro”). Spotkaliśmy się w San Francisco i przelecieliśmy się nad Pacyfikiem. W 1959 r. latem Negro był moim instruktorem na kursie taternickim w Betlejemce na Hali Gąsienicowej. W tym samym roku zimą poznałam w Mos-

kim Oku Janusza Kurczaba. Wspólne okrażanie Dhaulagiri – 40 lat później – uważam za nasz prywatny, ale niewątpliwie SUKCES. Cała grupa liczyła 10 osób: z Warszawy – Artur Chmielewski, Marek Janas, Janusz Kurczab, Ewa „Myszka” Urbanikowa oraz Wiesiek Krąjewski z żoną Grażyną („Grazka”), z Anglii – Jacek Gierliński z synem Filipem, Negro z Kanady i ja z Kalifornii.

Trek rozpoczynamy w Baglung (975 m; stolica regionu Dhaulagiri), dokąd dojeżdżamy autobusem z Kathmandu. Pierwszy etap, z Baglung do Beni, prowadzi wzdłuż rzeki Kali Gandaki. Ruszamy w świetnej pogodzie z widokiem na południowe stoki Dhaulagiri I (8167 m), Beni (825 m), duża wieś będąca administracyjnym centrum dystryktu Mayangdi, leży w rozwidleniu rzek Alki Gandaki i Mayangdi Khola. Noc spędzamy w hoteliku „Dolphin”, a następnego dnia zaczynamy iść doliną Mayangdi Khola. Ścieżka prowadzi wzdłuż rzeki lub trawersuje zbocza doliny. Jest gorąco, w sadzawkach pławią się kaczki i bawoły, mijamy karawany osłów i mułów. Po wiszących mostach przekraczamy boczne dopływy Mayangdi Khola. Trzy kolejne noce spędzamy w prymitywnych hotelikach, w wioskach Babichaur (1020 m), Dharapani (1560 m) i Muri (1800 m). Wyjątkowo malowniczy jest etap prowadzący do Muri. Ścieżka biegnie w dół i w górę, przez wioski Sibang, Mattim i Phalai Geon. Mamy wspaniałe widoki na Dhaulagiri I i pozostałe szczyty grupy Dhaulagiri Himal oraz terasowate poletka uprawne. Muri jest ładnie położoną, dużą wioską o charakterystycznej gestaj zabudowie. Spimy tu jeszcze pod dachem, a od następnego dnia przechodzimy „na wikt i opierunek” nepalskiej agencji turystycznej. Namioty i wyżywienie mamy załatwione na 9 dni.

Z Muri przechodzimy przełomem Mayangdi

Khola do małej, wysoko położonej wioski Boghara. Obniżamy się w kierunku rzeki, przekraczamy boczny dopływ Dhora Khola (Gurja Khola), podchodzimy do przełęczy Ghorban Dhara i schodzimy do Mayangdi Khola. Zaczynamy podchodzić zakosami po stromym trawiastym zboczu. Początkowo myśleliśmy, że ścieżka trawersuje zbocze, ale okazuje się że prowadzi ona ostro w górę. Wysoko na przewinięciu na tle nieba widzimy sylwetki tragarzy i zdajemy sobie sprawę z tego, co nas czeka. Kiedy wspinaczka po trawie kończy się, zaczynamy trawersować zbocze w dużej ekspozycji, wreszcie wychodzimy na grzbiet i schodzimy do Boghara.

Kolejny etap to polana Dobang. Schodzimy przez pola uprawne, przekraczamy niewielki grzbiet, wznosimy się wśród zabudowań wioski Jyardan (ostatnia stała wieś w dolinie) i trawersujemy stromy trawiasty stok przechodzący poniżej w kilkusetmetrowe urwisko opadające wprost do Mayangdi Khola. Po 100 czy 200 m stromizna się kończy, ścieżka schodzi w dół i prowadzi wzdłuż rzeki. Mijamy osiedle pasterskie Lapche Kharka i podchodzimy przez las na polanę Dobang. Kupujemy tu ostatnie piwo.

Następnym zakupem alkoholowym będzie „Marpha Brandy” w dolinie Kali Gandaki.

Z Dobang idziemy do osiedla pasterskiego Chartare (2820 m). Po drewnianym mostku przekraczamy boczny dopływ Konabon Khola, wypływający z lodowca Konabon u podnóża Dhaulagiri Himal. Błotnista ścieżka prowadzi przez dżunglę, mijamy bambusy i drzewa obrosnięte paprociami, schodzimy nad Mayangdi Khola i po kolejnym drewnianym mostku przedostajemy się na jej lewy brzeg. Do „zaczarowanego lasu” w Chartare dochodzimy jako ostatnia grupa i mamy kłopoty ze znalezieniem poziomego miejsca pod namioty.

Kolejny, ósmy już dzień. Trek prowadzi do tzw. bazy włoskiej na polanie Puchhar (3450 m), pod zachodnią ścianą Dhaulagiri I. Do tej pory mieliśmy świetną pogodę, tak że kiedy po rozbiciu namiotów zaczyna padać krupa śnieżna, jesteśmy nieco zaskoczeni. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że przez następne 4 dni, od wczesnego popołudnia do około 2-3 rano, będzie regularnie padać śnieg.

Celem następnego etapu jest tzw. baza japońska. Zbieramy się rano ubrani już w polary, czapki i rękawiczki. Okoliczne stoki przyprószone są śniegiem. Przechodzimy na drugą stronę Mayangdi Khola, na trawiasty teren w płytkiej dolince morenowej (Pokabon, 3585 m). Idziemy boczną moreną lodowca, a potem schodzimy do głębokiego kanionu z martwym lodem przykrytym grubą warstwą

morenowego gruzu. Ścieżka wznosi się w górę prawą stroną doliny, prowadzi przez strome nieprzyjemne usypiska i ponownie schodzi do rzeki, mającej tutaj charakter lodowcowego potoku. Na naszych oczach z prawej strony kanionu „wyjeżdża” spora lawina, ale do dna doliny dochodzi już tylko pył śnieżny. Podchodzimy do czołowej moreny lodowca Mayangdi (lodowiec Chhonbardan) i wychodzimy na lodowiec, całkowicie pokryty tu gruzem skalnym. Baza japońska (4100 m) to najbardziej nieprzytulny biwak na całym trekku, mokro, szaro i zimno. Prawie bez przerwy słychać hałas walących się seraków.

Następnego dnia idziemy do bazy GŁÓWNEJ. Ścieżka prowadzi przez rozległe plateau lodowcowe. Dolina skręca na wschód i otwiera się widok na Tukuhe Peak Zachodni (6837 m). Po kilku krótkich podejściach i zejściach dochodzimy do bazy wypraw na Dhaulagiri I (4700 m). Baza kąpielniczym, działa tu kilka wypraw, biwakują trekowcy i przemykają pojedyncze postacie podążające w kierunku Przełęczy Francuzów. Z bazy rozpościera się widok na ogromną północną ścianę Dhaulagiri I i inne szczyty grupy Dhaulagiri Himal.

Trudno mi uwierzyć, że tu jestem i w dodatku czuję się zupełnie dobrze.

Oby tak dalej! Niestety, dwójka uczestników ma problemy: Artur zawrócił już z bazy japońskiej, a Wiesia z towarzyszącą mu Grażką zabiera helikopter z głównej bazy.

Jednodniowy odpoczynek w bazie to niekończące się dyskusje – co zrobimy, jeżeli będzie padał śnieg. Potrzebujemy dwóch dni, aby przejść przez dwie wysokie przełęcze i zejść do Yak Kharka. Czujemy się trochę jak w pułapce. Kiedy nasz przewodnik Krishna oznajmia wieczorem, że jeżeli nie będzie padało, to wstajemy bladym świtem i ruszamy, to chyba nikt z nas tak naprawdę w to nie wierzy. A jednak nad ranem śnieg przestaje padać i jeszcze przed wschodem słońca ruszamy w kierunku Przełęczy Francuzów (French Pass). Jeden z pomocników kuchennych (Szerpa) okręca sobie nogi kawałkami plastiku i bierze się za torowanie w świeżym śniegu. Zaczynamy prawie 700-metrowe podejście. Początkowo idziemy stromym grzbietem po lewej stronie lodowca, potem ostro w górę i dalej łagodnym grzbietem na pola pod przełęczą. Jest zimno, wieje silny wiatr, ale na szczęście idziemy z wiatrem. Przekraczamy usypiska spadające spod leżącego na zachód od przełęczy szczytu Sita Chuchura (6611 m). Wreszcie stajemy na Przełęczy Francuzów (5360 m), a przed nami rozpościera się Nieznana Dolina (Dolina Milczenia, Hidden Valley, Patale Chhango). Nazwę Hidden

Valley wprowadzili alpinści francuscy (stąd Przełęcz Francuzów), uczestnicy wyprawy Herzoga w 1950 r., którzy dotarli tu w czasie poszukiwań drogi na Dhaulagiri I. Z przełęcz do miejsca biwaku jest jeszcze kawał drogi. Początkowo schodzimy szlakiem wydeptanym w śniegu, a następnie idziemy wzdłuż doliny. Jesteśmy we trójkę: Negro, Marek i ja. Tragarze poszli przed nami i ich nie widać, a za nami też nikogo w tym momencie nie ma. Totalna „głusz” w której można by się zejść na śmierć. W dodatku nie mamy pojęcia gdzie znajduje się miejsce biwaku. Wreszcie po dwóch godzinach posuwania się do przodu, znajdowania i gubienia śladów, mijają nas tragarze z innej grupy.

Podążamy ich śladem i za następnym przeciwstokiem widzimy rozstawione namioty.

Wieczorem zaczyna sypać śnieg. Jesteśmy na wysokości ponad 5000 m. Jest zimno (w granicach -20°C), tragarze nie mają odpowiedniego ubrania i obuwia, stoją z opuchniętymi paluchami, prosząc o skarpety i rękawiczki, o coś cieplejszego do włożenia na siebie. Nie spodziewali się takich niskich temperatur i opadów śniegu.

Nad ranem przestaje padać. Ruszamy w kierunku Dhapa Col (Dhambush Pass; 5250 m), przechodzimy przez przełęcz i zaczynamy iść do Yak Kharka.

Po świeżym opadzie, przy bezchmurnym niebie śnieg robi się coraz cięższy i coraz głębszy. To nie jest zejście. To są niekończące się trawersy przez kolejne zbocza śnieżne, ciągle powyżej 5000 m. Widoki są wspaniałe, na masyw Nilgiri (płn. 7061 m, centr. 6940 m, płd. 6839 m) i wyłaniające się spoza niego Annapurnę I (8091 m) i Fang (Baraha Shikar; 7647 m).

Prawdziwe zejście zaczyna się dopiero pod sam koniec dnia i do Yak Kharka (3960 m) dochodzimy z Januszem i Negrem już przy świetle księżyca.

Następnego dnia zbieramy się powoli, przy bezchmurnym niebie. Z miejsca biwaku widać masyw Nilgiri, Tilitsho Peak (Tilicho Peak, 7134 m), przełęcz Thorung La (5416 m) – najwyższy punkt trekku dookoła Annapurny, znajdujący się pomiędzy Yakawa Kang (6482 m) i Khatung Kang (6484 m), a jeszcze bardziej na północ daleki Mustang. Zachodzimy do dużej wsi Marpha (2670 m), która leży w dolinie Kali Gandaki, a właściwie w zamieszkałej przez Thakalów dolinie Thak Khola (górną część Kali Gandaki). Marpha jest jedną z najładniejszych wiosek w dolinie. Ze względu na silne południowe wiatry wiejące w tej części doliny, posiada zwartą zabudowę i wąskie ulice. Region ten znajduje się zasadniczo już poza zasięgiem monsunu i charak-

terystyczne płaskie dachy służą do suszenia drewna, ziarna i jarzyn. Marpha słynie z podziemnego systemu kanałów nawadniających, sadów owocowych (jabłka, morele, brzoskwinie) i lokalnego calvadosu „Marpha Brandy”.

Po jednodniowym odpoczynku schodzimy w ciągu 3 dni do Beni, nocując w wioskach Ghasa (2040 m) i Tatopani (1220 m). Towarzyszy nam widok na wschodnią ścianę Dhaulagiri I. Po drodze mijają nas karawany mułów i osłów, które transportują zaopatrzenie do odległego dystryktu Mustang. Do Beni dochodzimy w piątkę: Jacek, Filip, Janusz, Negro i ja. Niemordowany Marek opuścił nas za Tatopani i powędrował ze swoim tragarzem przez Ghorapani do Południowego Sanktuarium Annapurny. „Mysza” została w Marphie i czeka na Artura, z którym pójdą do Kagbeni, ostatniej wioski otwartej bez ograniczeń dla turystów. Za Kagbeni zaczyna się Mustang.

Popijając piwo w hoteliku „Dolphin” patrzę na naszą piątkę. Byliśmy razem w Langtangu w 1997 r. i razem obeszliliśmy Dhaulagiri. Jutro pojedziemy autobusem do Pokhary. Zatrzymamy się tam dwa dni, wrócimy do Kathmandu, „rozlecimy się” po świecie i wrócimy do codzienności, ale coś z tych dni spędzonych razem zostanie z nami... NAMASTE!

PS Trek jest nie tylko długi i wysoki, ale także niebezpieczny. Dzień przed nami, za Boghara, zabiła się dwójka Niemców (była ich piątka), którzy szli na ciężko bez tragarzy. Dziewczyna się potknęła, plecak (22 kg) ją przeważał, zsunęła się po trawie i spadła z kilkusetmetrowego urwiska do Mayangdi Khola. Dwóch współtowarzyszy usiłowało zejść i dostać się do rzeki, żeby udzielić pomocy. Jeden z ratujących się utopił, a drugi cudem wy dostał się na kamień w rzece i przeżył. Następnego dnia latający wzdłuż doliny helikopter usiłował coś wypatrzeć, ale nic z tego nie wyszło.

Potem amerykańscy kajakerze, specjaliści od sptywania górskimi rzekami, szukali ich ciał, ale nie znaleźli.

Podczas pisania tekstu korzystałam z niżej wymienionych książek i map: Janusz Kurczab „Nepal” przewodnik trekkingowy, wydawnictwo EXPLO, 1993.

Stan Armington „Trekking in the Nepal Himalaya”, Lonely Planet Publications, 1996.

Kerry Moran „Nepal Handbook”, Moon Publications Inc., 1996.

Mapa 1:125 000, Dhaulagiri Trekking Map, Namaste Trekking Maps, Kathmandu, Nepal.

GŁÓWNA GRAŃ TATR

PIERWSZE PRZEJŚCIE ZIMOWE 27 III do 14 IV 1959

Dane wstępne

1. Pierwszego zimowego przejścia głównej grani Tatr dokonali w dniach od 27 marca do 14 kwietnia 1959 r.: Jerzy Krajski, Czesław Mrowiec, Kazimierz W. Olech, Andrzej Sobolewski, Szymon Wdowiak i Andrzej Zawada, który był kierownikiem zespołu. Zespół poruszał się w kierunku E-W, od Przełęcz Żdziarskiej do Huciańskiej. Pokonanie tej grani po raz pierwszy zimą było największym wyzwaniem zimowego taternictwa w latach powojennych. Trzech członków zespołu: Krajski, Olech i Sobolewski brało udział w drugiej próbie zimowego przejścia głównej grani Tatr w 1958 r. W próbie przejścia uczestniczyły dwie niezależne grupy – zakopiańska i warszawska, które połączyły się pod Czarną Przełęczą i odtąd ściśle ze sobą współpracowały. Przejście zakończyło się kolejnym dramatem: w lawinie z Przełęcz koło Drąga zginął Ryszard Wawro z grupy zakopiańskiej. Śmierć Henryka Czarnieckiego i Tadeusza Strumiły na stokach Mięgoszowieckiego Szczytu Pośredniego położyła kres pierwszej próbie zimowego przejścia grani Tatr. Po tych wypadkach prezes Klubu Wysokogórskiego Czesław Bajer zabronił podejmowania prób zimowego przejścia głównej grani Tatr. Zespół warszawski nie zastosował się do tego zakazu. W konsekwencji po zrealizowaniu przejścia nie wydano żadnego sprawozdania ani nawet opisu trawersu, pomimo niewątpliwego sukcesu sportowego, jakim było w tym okresie pierwsze zimowe przejście głównej grani Tatr. Wyjazd na Słowację odbył się na podstawie paszportu Andrzeja Zawady z wkładką dla pozostałych uczestników.

2. Grań biegnie krętą linią o długości ok. 75 km, z czego 7 km przypada na Tatry Bielskie, 26 km na Tatry Wysokie i 42 km na Tatry Zachodnie. Kulminacyjnymi wzniesieniami są: Hawrań (2152 m) w Tatrach Bielskich, Zadni Gierlach (2640 m) w Tatrach Wysokich i Banówka (2178 m) w Tatrach Zachodnich. W grani wznosi się ok. 100 szczytów i turni, a jej łączna deniwelacja szacowana jest na 25 kilometrów.

3. Czas przejścia

TATRY BIELSKIE: 1 dzień (ok. 8 godz.)

TATRY WYSOKIE: 11 dni (ok. 90 godz.)

TATRY ZACHODNIE: 7 dni (ok. 30 godz.), w tym 3 dni przeczekiwania niepogody.

Łączny czas przejścia wyniósł ok. 128 godzin, czyli nie odbiegał od sumy notowań odpowiednich czasów przewodnikowych.

4. Zespół dysponował starannie dobranym, ale mizernym wyposażeniem i żywnością. Na cały ekwipunek składały się:

a) Sprzęt biwakowy i wspinaczkowy:

2 namioty brezentowe, jednoosobowy i czteroosobowy

– 4 materace z dętek rowerowych

– 2 palniki benzynowe i benzyna w plastikowych pojemnikach

– liny podciągowe (3 liny x 30 m)

– 6 czekanów i 6 par raków

– 2 młotki i kilka haków

– śpiwory, kurtki puchowe i buty produkcji krajowej, szybko przemakające i ciężkie.

b) Ciężkie ubranie wełniane produkcji krajowej.

c) Żywność dostępna na rynku krajowym, zróżnicowana na miarę ówczesnych możliwości. Spakowaliśmy ją w racjach dziennych w folii w formie wstęgi oddzielnie porcje śniadaniowe i obiadowo-kolacyjne. Uzupelnieniem paczek żywnościowych były konserwy i czekolada.

d) Waga plecaka ze sprzętem (mokrym po kilku dniach, aż do końca przejścia grani) i żywnością wynosiła powyżej 20 kg.

Taktyka i styl przejścia

1. Przejścia grani dokonano jednym ciągiem, minimalizując obejścia ostrza grani i eliminując kilka zjazdów.

2. Nie opuszczono żadnego szczytu ani nazwanej turni.

3. Nie korzystano z grupy wspierającej, a 6 skądów żywności i paliwa założyły dwuosobowe

<http://pza.org.pl>



Na grani

zespoły grupy graniowej przed rozpoczęciem drogi, w dniach 25 i 26 III 1959 r.

4. Poza dwoma wyjątkami (poniżej poz. a. i b.), dokonano całościowych przejść wszystkich odcinków grani (niektóre wymagały trudnej i b. trudnej wspinaczki).

a) Ominięto zejście z Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót na Wschodnie Żelazne Wrota, a przełęcz osiągnięto obejściem od Rumiskiej Przełęczki,

b) Ominięto uskok Zadniego Mnicha, a szczyt osiągnięto z Ciemnosmreczyńskiej Przełęczki.

5. W dwóch przypadkach cały zespół przechodził grań bez obciążenia, ale z nadkładem czasu i wysiłku. Zastosowano taktykę obejścia danego odcinka grani, założenia biwaku, a następnie powrotu na właściwy odcinek.

Taktykę tę przyjęto ze względu na bezpieczeństwo: wspinanie się z ciężkimi plecakami w trudnych warunkach zimowych było zbyt ryzykowne. Dotyczy to następujących odcinków grani:

a) Od Niżniej Gierlachowskiej Przełęczki do Batyżowieckiej Przełęczki i Wschodniej. Zespół obszedł ten odcinek po stronie Doliny Litworowej. Po założeniu biwaku pod Batyżowiecką Przełęczką

Wschodnią powrót zespołu na Niżnią Gierlachowską Przełęczkę.

b) Od Rumiskiej Przełęczki do Wschodniej Rumanowej Przełęczki. Zespół obszedł ten odcinek górną częścią Doliny Rumanowej. Po założeniu biwaku pod Wschodnią Rumanową Przełęczką powrót zespołu na Rumiską Przełęczkę.

6. Zespoły dwuosobowe przeszły następujące odcinki grani:

a) od Papiusowej Przełęczki do Przełęczki Stolarczyka,

b) od Białej Ławki do Jaworowej Przełęczki (Ostry i Mały Ostry),

c) od Wsch. Batyżowieckiej Przełęczki do Zmarzłego Szczytu,

d) od Żabiej Przełęczki do Żabiej Przełęczki Wyżniej (grań Żabiego Konia).

7. Składy żywnościowe: 25 i 26 marca 1959 r. założono 6 składów żywności i paliwa. Dwuosobowe zespoły grupy graniowej założyły je w następujących miejscach:

- Polski Grzebień (26 III 59)
- Wsch. Batyżowiecka Przełęcz (25 III 59)
- Kozia Strażnica (26 III 59)
- Waga (25 III 59)
- Przełęcz pod Chłopkiem (25 III 59)
- Kasprowy Wierch (26 III 59)

Uwaga: Szczegółowe informacje o rozwiązaniach taktycznych przejścia grani łącznie z wyszczególnieniem szczytów, turni i przełęczki podano w opisie kolejnych dni przejścia.

Opis przejścia

TATRY BIELSKIE

1. dzień (27 III 1959): ŻDZIARSKA PRZEŁĘCZ – PRZEŁĘCZ POD KOPĄ

Taktyka: 1) Od Żdziarskiej Przełęczki do Przełęczki pod Kopą przechodzi zespół dwuosobowy.

2) Zespół czterosobowy wnosi żywność i część wyposażenia na Przełęcz pod Kopą. Następnie przechodzi trawersem na szczyt Hawrania i z niego granią z powrotem na Przełęcz pod Kopą.

Szczyty i przełęczce: Przełęcz Żdziarska, Hawrań, Przełęcz Strzystarska, Płacziwa Skala, Szeroka Przełęcz Bielska, Szalony Wierch, Przełęcz pod Kopą.

Czas przejścia: ok. 8 godzin. Biwak na Przełęczce pod Kopą.

TATRY WYSOKIE

2. dzień (28 III 1959) PRZEŁĘCZ POD KOPĄ – ŚNIEŻNA PRZEŁĘCZ

Taktyka: 1) Grań od Papirusowej Przełęczy do Przełęczy Stolarczyka (grań Papirusowych Turni) przechodzi zespół dwuosobowy.

2) Grań od Papirusowej Przełęczy do Przełęczy Stolarczyka obchodzi zespół czteroosobowy po stronie Doliny Jaworowej.

3) Od Przełęczy Stolarczyka cały zespół wspina się ściśle granią.

Szczyty i przełęcze: Jagnięcy Szczyt, Kołowa Przełęcz, Czerwona Turnia, Modra Ławka, Modra Turnia, Kołowa Szczerbina, Kołowy Szczyt, Czarna Przełęcz, Czarny Szczyt, Papirusowa Przełęcz, Wielka Papirusowa Turnia, (grań Papirusowych), Przełęcz Stolarczyka, Baranie Rogi, Barani Zwornik Wyżni i Niżni, Śnieżna Przełęcz.

Czas przejścia: ok. 10 godzin. Biwak pod Śnieżną Przełęczą.

3. dzień (29 III 1959): ŚNIEŻNA PRZEŁĘCZ – BIAŁA ŁAWKA.

Taktyka: 1) Ściśle granią od Śnieżnej Przełęczy przez Harnaskie i Zbójnickie Turnie do Białej Ławki przechodzi cały zespół.

Szczyty i przełęcze: Grań Śnieżnych Czub, Śnieżny Szczyt, Wyżnia Lodowa Przełęcz, Lodowy Zwornik, Ramię Lodowego, Lodowy Szczyt, Lodowa Kopa, Lodowa Przełęcz, grań Harnaskich Turni, Harnaska Ławka, Mały Lodowy Szczyt, Zbójnicka Ławka, grań Zbójnickich Turni, Biała Ławka.

Czas przejścia: ok. 7 godzin. Biwak pod Białą Ławką.

4. dzień (30 III 1959): BIAŁA ŁAWKA – POLSKI GRZEBIEŃ.

Taktyka: 1) Grań od Białej Ławki do Jaworowej Przełęczy przechodzi zespół dwuosobowy. (Ostry Szczyt i Mały Ostry Szczyt).

2) Od Białej Ławki do Jaworowej Przełęczy obejściem po stronie Doliny Jaworowej przechodzi zespół czteroosobowy.

3) Od Jaworowej Przełęczy do Polskiego Grzebienia cały zespół wspina się ściśle granią.

Szczyty i przełęcze: Ostry Szczyt, Przełęcz w Ostym, Mały Ostry Szczyt, Jaworowa Przełęcz, Jaworowy Szczyt, Rozdziele, Mały Jaworowy Szczyt, Zawracik Równiokowy, Krzesany Róg, Równienkowa Przełęcz, Równienkowe Turnie Wschodnia i Zachodnia, Graniasta Przełęcz, Graniasta Turnia, Świstowa Przełęcz, Świstowy Szczyt, Dzika Przełęcz, Dzika Turnia, Wyżnia Rohatka, Turnia nad Rohatką, Rohatka, Mała Wysoka, Polski Grzebień.

Czas przejścia: ok. 11 godzin. Biwak na Polskim Grzebieniu. Pierwszy skład żywności.

5. dzień (31 III 1959): POLSKI GRZEBIEŃ – NIŻNIA GIERLACHOWSKA PRZEŁĄCZKA

Taktyka: 1) Grań od Polskiego Grzebienia do Niżniej Gierlachowskiej Przełęczki przechodzi cały zespół z pełnym obciążeniem.

2) Od Niżniej Gierlachowskiej Przełęczki do Wschodniej Batyżowieckiej Przełęczy zespół obchodzi grań po stronie Doliny Litworowej i schodzi na biwak pod przełęczą.

Szczyty i przełęcze: Wielicki Szczyt, Wielicka Przełęcz, Litworowy Szczyt, Litworowa Przełęcz, Wielicka Turniczka Niżnia, Wysoka Gierlachowska, Niżnia Gierlachowska Przełęczka.

Czas przejścia: ok. 7 godzin. Biwak pod Wschodnią Batyżowiecką Przełęczą. Drugi skład żywności.

6. dzień (1 IV 59 r.): NIŻNIA GIERLACHOWSKA PRZEŁĄCZKA – WSCHODNIA BATYŻOWIECKA PRZEŁĘCZ

Taktyka: 1) Na Niżnią Gierlachowską Przełęczkę cały zespół wraca po wczorajszych śladach i wspina się bez obciążenia, ściśle granią do Wschodniej Batyżowieckiej Przełęczy.

2) Na Gierlach wchodzi wszyscy.

Szczyty i przełęcze: Wyżnia Wysoka Gierlachowska, Gierlachowska Kopa, Wyżnia Gierlachowska Przełęczka, Lawinowy Szczyt, Jurgowskie Szczerbiny, Zadni Gierlach, (Przełęcz Tetmajera, Gierlach), granią szeregu turniczek na Wschodnią Batyżowiecką Przełęcz.

Czas przejścia: ok. 6 godzin. Biwak pod Wschodnią Batyżowiecką Przełęczą.

7. dzień (2 IV 1959): WSCHODNIA BATYŻOWIECKA PRZEŁĘCZ – WYŻNIA ŻŁOBISTA PRZEŁĄCZKA

Taktyka: 1) Grań od Wschodniej Batyżowieckiej Przełęczy do Zmarzłego Szczytu przechodzi zespół dwuosobowy.

2) Zespół czteroosobowy obchodzi tę grań od strony Doliny Batyżowieckiej do Rumiskiej Przełęczki.

3) Od Rumiskiej Przełęczki do Wschodniej Rumanowej Przełęczy zespół obchodzi górną częścią Doliny Rumanowej. Po założeniu biwaku poniżej Wschodniej Rumanowej Przełęczy zespół powraca bez plecaków po śladach na Rumiską Przełęczkę i kontynuuje przejście grani.

4) Od Rumiskiej Przełęczki wejście na Wschodni Szczyt Żelaznych Wrót, powrót na Rumiską Przełęczkę i obejście do Wschodnich Żelaznych Wrót.

5) Od Wschodnich Żelaznych Wrót cały zespół idzie na lekko ściśle granią.

Szczyty i przełęcze: Batorywiecki Szczyt, Kacza Przełęcz, Kaczy Szczyt, Jurgowska Przełęcz, Zmarzły Szczyt, Rumiska Przełęczka, Wschodni Szczyt Żelaznych Wrót, Wschodnie Żelazne Wrota, Hrubą Śnieżną Kopa, Pośrednia Śnieżna Kopa, Zachodnie Żelazne Wrota, Zachodni Szczyt Żelaznych Wrót, Niżnia Żłobista Przełęczka, Żłobisty Szczyt, Wyżnia Żłobista Przełęczka.

Czas przejścia: ok. 11 godzin. Biwak pod Wsch. Rumanową Przełęczą. Trzeci skład żywności pod Kozią Strażnicą.

8. dzień (3 IV 1959): WYŻNIA ŻŁOBISTA PRZEŁĘCZKA – WSCHODNIA RUMANOWA PRZEŁĘCZ

Taktyka: 1) Od Wyżniej Żłobistej Przełęczki do Wschodniej Rumanowej Przełęczki ściśle granią przechodzi bez obciążenia zespół czteroosobowy.

2) Na Wysoką od Zachodniej Rumanowej Przełęczki wchodzi zespół dwuosobowy, który idzie po żywność do składu na Wadze i wraca na biwak.

Szczyty i przełęcze: Rumanowy Szczyt, Gankowa Przełęcz, Wielki Ganek, grań Ganku, Rumanowe Przełęcze: Wschodnia Środkowa. i Zachodnia.

Czas przejścia: ok. 9 godzin. Biwak pod Wschodnią Rumanową Przełęczą. Czwarty skład żywności był na Wadze.

9. dzień (4 IV 1959): ZACHODNIA RUMANOWA PRZEŁĘCZ – PRZEŁĘCZ POD CHŁOPKIEM

Taktyka: 1) Od Zachodniej Rumanowej Przełęczki do Żabiej Przełęczki (do Wagi po śladach z poprzedniego dnia) przechodzi ściśle granią cały zespół.

2) Grań Żabiego Konia od Żabiej Przełęczki do Żabiej Przełęczki Wyżniej przechodzi zespół dwuosobowy.

3) Od Żabiej Przełęczki Wyżniej do Przełęczki pod Chłopkiem ściśle granią przechodzi cały zespół.

Szczyty i przełęcze: Wysoka, Przełęcz pod Wysoką, Ciężki Szczyt, Waga, Rysy, Żabia Przełęcz, Żabi Koń, Żabia Przełęcz Wyżnia, Żabia Turnia Miękuszwiecka, Żabia Przełęcz Miękuszwiecka, Wołowa Turnia, Wielka Wołowa Szczerbina, Wołowy Grzbiet (grań), Hinczowa Turnia, Czarnosta-

wiańska Przełęcz, Miękuszwiecki Szczyt Czarny, Przełęcz pod Chłopkiem.

Czas przejścia: ok. 9 godzin. Biwak na Przełęczce pod Chłopkiem. Piąty skład żywności.

10 dzień (5 IV 1959): PRZEŁĘCZ POD CHŁOPKIEM – WROTA CHAŁUBIŃSKIEGO

Taktyka: 1) Wierzchołek Miękuszwieckiego Szczytu osiągnięto kominem Martina.

2) Uskok Zadniego Mnicha ominięto, a szczyt osiągnięto z Ciemnomreczyńskiej Przełęczki.

Szczyty i przełęcze: Miękuszwiecki Szczyt Pośredni, Miękuszwiecka Przełęcz Wyżnia, Miękuszwiecki Szczyt, Hinczowa Przełęcz, Cubryna, Przełęczka pod Zadnim Mnichem, Zadni Mnich, Ciemnomreczyńska Przełęczka, Ciemnomreczyńska Turnia, Przełęcz nad Wrotami, Wrota Chałubińskiego.

Czas przejścia: ok. 8 godzin. Biwak pod Wrotami Chałubińskiego.

11. dzień (6 IV 1959): WROTA CHAŁUBIŃSKIEGO – KASPROWY WIERCH

Taktyka: 1) Wszyscy idą ściśle granią.

Szczyty i przełęcze: Szpiglasowy Wierch, Kostury, Czarna Ławka, Kotelnica, Gładki Wierch, Gładka Przełęcz, Walentkowa, Walentkowa Przełęcz, Świnica, grań do przełęczki Liliowe, Beskid, Kasprowy Wierch.

Czas przejścia: ok. 11 godzin. Biwak pod obserwatorium. Szósty skład żywności.

TATRY ZACHODNIE

12. dzień (7 IV 1959): KASPROWY WIERCH – PRZEŁĘCZ POD KOPĄ KONDRACKĄ

Taktyka: 1) Na Kasprowym Wierchu pozostawiono część ciężkiego sprzętu. Wyreperowano namioty, buty i ubrania. Częściowo wysuszono mokre rzeczy.

2) Taktyka przejścia grani Tatr Zachodnich: iść szybko i oszczędzać żywność, ponieważ dalej nie ma już składów żywności.

3) Po niewielkim odpoczynku wyruszono po południu w dalszą drogę.

Szczyty i przełęcze: Goryczkowa Przełęcz pod Zakosy, Pośredni Wierch Goryczkowy, Goryczkowa Przełęcz Świńska, Goryczkowa Czuba, Suchy Wierch Kondracki, Przełęcz pod Kopą Kondracką.

Czas przejścia: ok. 1,5 godziny. Biwak na Przełęczce pod Kopą Kondracką.

13. dzień (8 IV 1959): PRZEŁĘCZ POD KOPĄ KONDRACKĄ – BANISTA PRZEŁĄCZKA

Szczyty i przełęcze: Kopa Kondracka, Małotącka Przełęcz, Małotączniak, Litworowa Przełęcz, Krzesanica, Mułowa Przełęcz, Ciemniak, Tomanowa Przełęcz. Suchy Wierch Tomanowy, Tomanowa Polska Smreczyńska Przełęcz, Smreczyński Wierch, Hlińska Przełęcz, Kamienista, Pyszniańska Przełęcz, Błyszcz, Bystra, Banista Przelączka.

Czas przejścia: ok. 8 godzin. Warunki: mgła, silny wiatr i deszcz. Biwak pod Banistą Przelączką, w górnej części Doliny Gaborowej. W nocy pada deszcz ze śniegiem.

14. dzień (9 IV 1959): Przewidywanie niepogody. Halny wiatr. Brak widoczności.

Biwak pod Banistą Przelączką w górnej części Doliny Gaborowej.

15. dzień (10 IV 1959): BANISTA PRZEŁĄCZKA – RACZKOWA PRZEŁĘCZ

Szczyty i przełęcze: Banista, Raczkowa Przełęcz.

Warunki: Mgła, halny wiatr. Brak widoczności. Lawiniasty śnieg.

Biwak w dolnej części Doliny Raczkowej w starym szałasie, w którym rozstawiono namiot, aby ochronić go przed wiatrem.

16. dzień (11 IV 1959): Przewidywanie niepogody. Duży opad śniegu. Zagrożenie lawinowe.

Biwak w Dolinie Gaborowej pod namiotem w starym szałasie.

17. dzień (12 IV 1959): RACZKOWA PRZEŁĘCZ – DZIURAWA PRZEŁĘCZ

Szczyty i przełęcze: Starorobociański Szczyt, Starorobociańska Przełęcz, Kończysta nad Jarząbczą, Jarząbcza Przełęcz, Jarząbczy Wierch, Niska Przełęcz. Łopata, Dziurawa Przełęcz.

Czas przejścia: ok. 4 godzin. Biwak w górnym piętrze Doliny Jamnickiej.

18. dzień (13 IV 1959): DZIURAWA PRZEŁĘCZ – PRZEŁĘCZ POD DZWONEM

Szczyty i przełęcze: Wołowiec, Jamnicka Przełęcz, Rohacz Ostry, Rohacka Przełęcz, Rohacz Płacziwy, Smutna Przełęcz, Trzy Kopy, Banówka, Banikowska Przełęcz, Pachola, Spalona Przełęcz, Spalona, Przełęcz pod Dzwonem.



Uczestnicy przejścia. Od lewej: Kazimierz Olech, Czesław Mrowiec, Szymon Wdowiak, Andrzej Zawada, Andrzej Sobolewski, Jerzy Krajski

Czas przejścia: ok. 9 godzin. Biwak poniżej Przełęcz pod Dzwonem (1885 m), przed Salatyńskim Wierchem.

19. dzień (14 IV 1959): PRZEŁĘCZ POD DZWONEM – PRZEŁĘCZ HUCIAŃSKA

Szczyty i przełęcze: Salatyński Wierch, Salatyńska Przełęcz, Brestowa, Palenica, Siwy Wierch, Siwiańska Przełęcz, Biała Skala, Biała Przehyba, Mała Biała Skala, Przełęcz Huciańska.

Czas przejścia: ok. 8 godzin.

Zakończenie przejścia grani na Przełęcz Huciańskiej o godzinie 12.40.

Opracowali:

Kazimierz Olech i Andrzej Sobolewski

SPRAWA ZAKAZU PIERWSZEGO PRZEJŚCIA ZIMOWEGO GRANI TATR („Taternik” nr 4/1959 r./, s. 3)

Sprawa I polskiego przejścia zimowego grani Tatr. Sprawę powyższą rozpatrzył Sąd Koleżeński na wniosek Zarządu Głównego KW, a z uwagi na otrzymane ponaglenie przedstawił swój pogląd nie w formie oficjalnego orzeczenia, lecz w formie listu oraz przez delegowanie członka Sądu, Kol. J. Szumskiego na plenarne Zebranie Zarządu Głównego KW w dniu 18.X.1959 roku dla przedyskutowania sprawy z Zarząd Głównym KW. Zarząd Główny wnioskował rozpatrzenie dokonanego przejścia grani Tatr od ustalenia, w jakim stopniu była to impreza organizowana przez Koło Warszawskie KW oraz czy uczestnicy przejścia złamali zakaz

Zarządu Głównego przez organizowanie tej wyprawy, czy też nie zastosowali się do apelu w sprawie przejść granicznych. Sąd Koleżeński zajął w powyższej sprawie następujące stanowisko:

1) stwierdził, że nie dysponuje kompletnym materiałem dowodowym i może do niej jeszcze powrócić,

2) stwierdził, że nie istniał żaden formalny zakaz organizowania i przeprowadzania przejść zimowych granią Tatr w sezonie zimowym 1958/59,

3) stwierdził, że niezastosowanie się do apelu Zarządu Głównego KW w rozumieniu niezrezygnowania z przejścia, nie świadczy o lekceważeniu apelu przez uczestników tego przejścia,

4) zaakceptował na marginesie powyższej sprawy fakt istnienia niedociągnięć w operatywności prac Biura Zarządu Głównego KW, a tym samym Prezydium Zarządu Głównego.

F. Obstarczyk

Przewodn. Sądu Koleżeńskiego

Madagaskar – wspinanie w raju

Na największej wyspie Afryki, w rejonie Andringitra, znajduje się prawie zupełnie nieznaną masę Tsaranoro.

Pomimo niewielkiej bezwzględnej wysokości, ściany tego masywu mają imponujące rozmiary. Wysokości dochodzą do 800 metrów pionowego, płytowego granitu.

Zrobienie nowej drogi na tych właśnie ścianach obrała sobie za cel wyprawa wspinaczkowa Klubu Wysokogórskiego z Krakowa.

Zespół liczył siedem i pół osoby tzn.: Bogusław Fic (Boguś – kierownik), Waldemar Niemiec (Tato-Tato), Tomasz Samitowski (Uśmiech), Krzysztof Zieliński (Gienek) – wszyscy KW Kraków oraz Michał Zieliński (Ogór), Marcin Jamkowski (Jamkoś, dziennikarz „Gazety Wyborczej”) – obaj KW Warszawa, Marzena Hmielewicz (fotoreporter „Gazety Wyborczej”) oraz połówka, czyli mój sześciolatek syn Igor.

Czas trwania to połowa sierpnia do połowy października, przy czym ostatni tydzień poświęciliśmy na regenerację w ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego.

Wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem i małym wypadkiem (o czym szerzej jeszcze napiszę).

Sukces to dwie nowe drogi:

Na rozgrzewkę zrobiliśmy nową drogę o nazwie „Tato – Tato” na 900-metrowej ścianie Le Dondy. Uzbierało się 21 wyciągów o trudnościach 6 A, czyli „dla ludzi”. Wspinanie zajęło nam (Ogór i ja) dwa dni przedzielone „kibelem” w ścianie.

Druga droga – właściwy cel wyprawy to już inny rodzaj zabawy.

600 metrów trudnego granitu, bez żadnych, nawet najdrobniejszych rysek, wymagało wytyżo-



Prowadzi Bogusław Fic

nej pracy całego zespołu. Przygotowanie drogi, czyli jej wyznaczenie i ubezpieczenie zajęło nam ok. 10 roboczodniówek. Natomiast już samo jej przejście zmieściło się w jednym dniu plus nocne zjazdy ścianą.

Ostatecznie okazało się, że zrobiliśmy jedną z najtrudniejszych nowych skalnych dróg, jaką kiedykolwiek poprowadzili Polacy.

Trudności 7 B+, przy długich ciągach trudności powyżej 7 A, tylko jeden łatwiejszy wyciąg 6A na samym starcie, długość drogi (600 m) mówią same za siebie.

Droga wiedzie środkiem płyt Tsaranoro Kelly i została nazwana „Cucumber Flying Circus” na cześć Ogóra, któremu nie dane było jej dokończyć.

Ponadto w różnych składach zrobiliśmy kilka innych dróg, już wcześniej poprowadzonych przez inne zespoły.

Więcej o wyprawie i Madagaskarze (nie tylko o wspinaniu) – niebawem.

Waldemar Niemiec

DWIEŚCIE MIEJSC PRZY STOLE

– Kurczę, zdenerwowałem się! Podchodzi do mnie jakiś siwy dziad i mówi, że był moim kursantem! – powiedział oburzony ponad sześćdziesięcioletni taternik na spotkaniu wspinaczy lat 70. Odyby się ono w październiku 2000 roku w Morskim Oku z inicjatywy łódzkiego Klubu Wysokogórskiego, a przede wszystkim Elżbiety „Glajzy” Fijałkowskiej i Krzyszka Pankiewicza.

Zapytać można, kogo tak naprawdę zaliczyć należy do tego pokolenia; czy tych, którzy wtedy jakkolwiek się wspinali, niezależnie od tego, czy stali nad grobem, czy dopiero uczyli się chodzić, czy też takich, których najaktywniejszy wspinaczkowy okres i tak zwany kwiat wieku na owe lata przypadł.

Jeżeli przyjmiemy tę drugą, bardziej rygorystyczną definicję, to wspinacz taki ma obecnie około pięćdziesiątki, brzuszek, drugą żonę (dużo młodszą od pierwszej), całkiem nowe małe dzieci (było parę gaf – niektórzy mówili: „Ładne masz wnuki”), rozkręcony biznes lub działalność polityczną, prawie się nie wspinają lub też mieszka za granicą, wymieciony przez wiatr historii. Nie zapominajmy wszak, że wspinacze lat 70. załapali się już jako dorośli ludzie na najzabawniejsze wydarzenia w dziejach naszego kraju: komuna w rozkwicie, marzec 68 czy stan wojenny. To oni drukowali i szmuglowali bibułę, strajkowali w pracy i na uczelniach, niektórzy trochę posiedzieli, bo tak się jakoś ciekawie złożyło, że środowisko wspinaczkowe nigdy nie miało rozterek, po której stronie. Choć były oczywiście wyjątki. Na szczęście nieliczne.

Nie obrażając następnych generacji stwierdzić można, że pokolenie taterników urodzonych w latach 40. i wczesnych 50. było to ostatnie pokolenie z klasą, polotem, wysokim poziomem intelektualnym *en masse* (często popartym tytułami naukowymi), osiągnięciami sportowymi, pomysłami na przetrwanie załamania pogody oraz mogące się pochwalić niemałą ilością wypitego alkoholu (choć następne generacje biją ich w tej kwestii na głowę, ponieważ nie rozpraszało ich już tak bardzo wspinanie). Wiele osobowości charyzmatycznych, o których krążą legendy, wielu wybitnych himalaistów do tego pokolenia należało.

Jednak ci, którzy przyjechali na to spotkanie, uznali tę pierwszą, pojemniejszą formułę, ponieważ zjawili się tak zwani wszyscy – około dwustu osób – i to było wspaniałe. Od Andrzeja Wilczkowskiego, Stanisława Worwy i Hani Skoczylas po osoby, które do klubu wysokogórskiego zapisały się na przykład w 1979 roku.

Nie było łatwo. Alicja Bednarz na podejściu złamała rękę, Tomasz Herbich przyjechał już połamany (wpadł do grobowca faraona średniej dynastii) i o kulach dzielnie zdobywał Czarny Staw, będąc przykładem dla leniwych młodocianych turystów („Patrz synu, pan o kulach, a ty tak marudzisz!”), kula nie przeszkadzała również w tańcu Grzegorzowi Benke, Bogumił Stama w pumpach i nieodłącznej czapce wyglądał raczej jak Józef Oppenheimer niż były wspinacz progresywny, o Aleksandra Lwowa pytały podekscytowane turystki: „Czy to TEN Aleksander Lwow?” i rzucały się po autografy. Michał Gabryel był jeszcze bardziej kultowy niż

zwykle, z waltornią i w górniczym mundurze z demobilu. Za górnika przebrany był też Wiesław Panejko, który grał na puzonie i razem z Gabrielem tworzyli zespół uświetniający swą grą wieczór i przydający blasku toastom.

Byli też wielcy nieobecni; rozglądano się za himalajskimi gwiazdami – Krzysztofem Wielickim i Leszkiem Cichym, nie było Wojtka Kurtyki, którego nigdy i nigdzie nie ma, Jana Surdela „Kiszka”, brakowało Janusza Kurczaba, Jacka Jasińskiego „Półkmięcia”, Janusza Onyszkiewicza, Michała Jagiełły, Janusza Majera, „Dziadka”, Hierzyka i wielu innych.

Za nieoficjalny początek imprezy można uznać „hromadny występ” na Mnicha, oraz inne ambitniejsze wspinaczki, będące dziełem tych, którzy przybyli najwcześniej (uczestnicy zjeżdżali się do samego wieczora). Swoistą atrakcją stanowił również przyjazd wycieczki międzynarodowej pod wodzą dyrektora TPN Tadeusza Byrcyna, która dowieziona została nad Morskie Oko kilkoma busami. Niestety, nie były one napędzane prądem, ale widocznie sama obecność Dyrektora sprawia, że spaliny mniej trują, a zwierzyzna się nie stresuje.

Oficjalna część zjazdu, czyli uroczysta kolacja rozpoczęła się od wywołania nazwisk tych, którzy już nigdy nie zasiądą z nami do stołu, ale którzy zawsze mają przy nim swoje miejsce, i uczczenia ich pamięci chwilą ciszy.

Potem nastąpiła prawdziwa biesiada, przerywana licznymi toastami. W pierwszym rzędzie uhonorowana została Marysia Łapińska, a w jej osobie cała rodzina Łapińskich, która tak znakomicie przysłużyła się naszemu środowisku. Była też chwila szczerości – parę osób przyznało się kiedy i ile czasu waletowało w schronisku.

Tak duża grupa osób potrzebuje wodzireja lub przywódcy, więc samozwańczo, ale ku ucieście wszystkich, został nim Michał Gabriel. To on zarządzał toasty i przerwy na produkcje artystyczne, to znaczy na wykonywanie na przemian dwóch utworów, jakie umieli odegrać na instrumentach dętych wymienieni już rewelersi. Utworami tymi były: „A on do wojska...” oraz „Szła dziewczeczka”. Słowa znali wszyscy.

Potem tańce i zajęcia w podgrupach, a o godzinie 22 – wybory prezydenckie, jako że następnego dnia wypadały wybory prezydenckie w III Rzeczypospolitej, na które przecież mogliśmy nie zdążyć. Choć na kartach do głosowanie widniało wiele nazwisk, większość, w rubryce „inne kandydatury”, wpisała nazwisko Michała Gabriela, zgodnie z zasadą, że lepiej wybrać kogoś, kogo się już zna niż ryzykować. Prezydent-elekt w swoim exposé obiecał przyznanie mieszkania i zasiłku jednej rodzinie, po czym jak zwykle odegrał coś na puzonie.

Następnego dnia spotkanie wspinaczy lat 70. zostało ukoronowane wykonaniem zbiorowej fotografii, co nie było łatwe, ponieważ utworzyły się dwie konkurencyjne grupy pozerów, i jako że środowisko składa się z samych indywidualności, trudno było zagnać wszystkich w jedno miejsce. Udało się, a potem nastąpił czas długich pożegnań i obietnice podtrzymywania odnowionych kontaktów.

Trudno oddać słowami atmosferę tego niezwykłego spotkania. Kto nie był, niech żałuje, kto był, będzie miał co wspominać. Spotykajmy się więc często i cieszymy sobą nawzajem, póki jeszcze jesteśmy w stanie się rozpoznać i dotrzeć nad Morskie Oko o własnych siłach.

Beata Słama (w KW od 1979 r.)



Fot. Grzegorz Głazek

Home is where you hang your heat...

Wolontariat w CCNP

W 1998 roku zrealizowałam swoje ogromne marzenie. Od 30 kwietnia do 25 września pracowałam jako wolontariuszka w Cave Resources Office, w Parku Narodowym Carisbad Caverns. Znajduje się on na południu stanu Nowy Meksyk w USA i graniczy z Parkiem Narodowym Guadalupe Mountain w Teksasie.

Park ten oficjalnie utworzono w 1923 roku w celu ochrony jaskiń, wapiennych gór oraz unikalnej flory i fauny półpustyni Chihuahuan. Właśnie z powodu jednej z tamtejszych dziur zamarzyło mi się pojawienie w tym zakątku świata. Zauroczenie Lechuguilla doprowadziło do mojego pierwszego pobytu w CCNP w 1995 roku. Wtedy to wzięłam udział w wyprawie eksploracyjnej grupy L.E.A.R.N. (Lechuguilla Exploration and Research Network) do Lechuguilli i popracowałam na terenie kilku innych jaskiń tego Parku. W sumie spędziłam trzy tygodnie na półpustyni i w jej podziemiach, a to wystarczyło bym zakochała się bez reszty w egzotyce tego świata.

Nie przestawałam marzyć o jaskiniach, przyrodzie i ludziach w CCNP. Śniłam o powrocie! Kiedy wydawało się, że finansowo podołam, poprosiłam o miejsce wolontariusza w biurze zajmującym się wszystkim co z jaskiniami związane. Udało się!

I właśnie o spełnieniu moich marzeń chcę dzisiaj napisać.

Po przybyciu do Parku zostałam zakwaterowana w „domu kobiet” i przedstawiona moim szefom oraz innym pracownikom, z którymi miałam współpracować. Dowiedziałam się też jakie mam prawa i czego kategorycznie się zakazuje. Po otrzymaniu munduru wolontariusza byłam już 100% pracownikiem CCNP, więc oczekiwano ode mnie kompetencji i fachowości.

Przydzielono mi obowiązki i mimo że to wszystko wygląda bardzo szorstko, od początku wiedziałam, że przeżyję najpiękniejsze wakacje i to z ludźmi nie z tej ziemi!

Przyjmowano mnie wszędzie z otwartymi ramionami, proponowano pomoc w każdym zakresie (wypożyczenie samochodu, pokazanie najtańszych sklepów, jak i gdzie spędzić weekend, gdzie iść popływać, etc.), zapraszano na grilla lub wspólny wypad do kina i ogólnie czułam życzliwość. Zachęcano mnie do poznania Nowego Meksyku, tak odmiennego stanu US, o powierzchni równej tej zajmowanej przez Polskę; gdzie kultura Indian miesza się z amerykańską; obowiązują dwa języki: angielski i hiszpański, a dominującym zapachem jest zapach chili, a nie hamburgera. Wreszcie pomagano mi realizować potrzeby poznawcze.

Nie zapomnijmy jednak o moich obowiązkach, które w przeważającej części były dla mnie przyjemnością. Do nich należały wszelkiego rodzaju prace jaskiniowo-biurowe, czyli począwszy od parzenia kawy, przez prace porządkowe na terenie biura, magazynu sprzętu i jaskiń. Przewodziłam grupom eksploracyjnym, restauracyjnym lub filmowym, asystowałam naukowcom w ich badaniach, pomagałam szkółki ekspedycje w przepisach ochrony jaskiń i półpustyni. Także eksplorowałam, wykonywałam dokumentacje fotograficzne i topograficzne, ślęczałam przy komputerze wprowadzając do niego dane kartograficzne, przygotowywałam projekty restauracyjne i pomagałam w ich realizacji, szukałam nowych jaskiń.

W ramach tych obowiązków odwiedziłam na terenie CCNP 24 jaskinie i kilka poza jego granicami. Wzięłam udział w trzech biwakach pięciodniowych w Lechuguilli i kilkunastu wejściach 24-godzinnych do różnych grot. W sumie spędziłam 83 dni pod ziemią, ze 149 w CCNP. Tyle osobistej statystyki.

W granicach Parku znanych jest 86 jaskiń. Największa z nich to Lechuguilla, główny problem eksploracyjno-badawczy na tym terenie. Odkryto je w 1986 roku i do dzisiaj wyeksplorowano przeszło 15 km, dochodząc do głębokości -500. Stawia to ją na pierwszej pozycji pod względem głębokości wśród jaskiń kontynentalnego USA. Potencjalnie

mamy w niej do odkrycia kolejnych 100 km długości, tak zapewnijają geolodzy.

Drugim gigantem jest Carlsbad Caverns, od której to nazwę przyjął Park Narodowy. Powstała ona w ryfie wapiennym datowanym na 250 mln lat. Skartowano w niej 50 km. Carlsbad Caverns jest po części jaskinią turystyczną i można się tam prze spacerować, np. w Big Room o powierzchni 6 hektarów, zajmuje dziewiąte miejsce na liście największych podziemnych sal. Dwie trasy turystyczne dostosowano do wymogów ludzi słabszych lub na wózkach inwalidzkich. Poza tym można wziąć udział w trzech podziemnych wycieczkach o zwiększonej trudności. Left Hand Tunnel jest trasą łatwą, ale spaceruje się z latarniami i po naturalnym spongu, czasami przeskakując maleńkie jeziorka lub nachylając się. Lower Cave to korytarze pod Big Room słynące z przepięknych skupisk pereł jaskiniowych i „wspinaczki” po drabnie lub między wantulami, jeśli bierzemy udział w wydłużonej wersji wycieczki. White Giant – jest trasą wymagającą dobrej kondycji fizycznej. Pokonuje się ją z dwoma rangersami i w kaskach ze światłem elektrycznym*, wiele trzeba się czołgać, sforsować zacisk i zapieraczką pięciometrowy komin, wytrawersować szczelinę..., jednym słowem wielka przygoda dla weekendowego grotolaza.

Atrakcja CC jest również cwieczorny wylot nietoperzy na żer. Około 5 tysięcy free-tailed bats (*Tadarida macrotis*) wylatuje w ciągu minuty przez główny otwór jaskini, o wysokości i szerokości ponad 60 m. W trakcie letnich miesięcy nietoperze mieszkają w części grotu zwanej Bat Cave, tworząc kolonie letnie liczącą 250 tys. do miliona osobników.

Na terenie CCNP są jeszcze dwie jaskinie dostępne turystom: Spikier Cave nieopodal centrum turystycznego i Slaughter Canyon Cave (zwana też New Cave) w Slaughter Canyon. Dla grotolazów udostępnionych jest osiem jaskiń (wymagane jest zezwolenie z Cave Resources Office) o różnej trudności technicznej. Pośród nich jest Ogle Cave, możliwa do zwiedzenia tylko z pracownikiem Cave Resources Office. W tej jaskini można przeżyć fantastyczny zjazd w studni wejściowej, prawie 100 m głębokiej i obejrzeć drugi pod względem wysokości stalagnat na świecie (zaledwie kilka metrów krótszy od tego znanego z chińskiej Jaskini Smoka), w gigantycznej podziemnej pustce.

Ogólnie chodzenie po jaskiniach półpustyni Chihuahuan sprawia niesamowitą przyjemność. Niezbyt trudne technicznie dla absolwenta polskich kursów taternictwa jaskiniowego, zachwycają pięknem i unikalnością szaty naciekowej oraz... tem-



W Chandelier Ballroom w Lechuguille. Na zdjęciu Stan Allison

peraturami powietrza. Te wahają się pomiędzy +16°C w Carlsbad Caverns, a +24°C w Lechuguilli. Odrobinię całą tę frajdę z ciepłkiem psują przeszło 90% wilgotności oraz piasek lub gips, które pomagają w zdobywaniu bardzo trudno gojących się otarć i odparzeń.

Wysokie temperatury, wilgotność powietrza i osobliwość budowy geologiczno-mineralogicznej Guadalupe Mountain przyczyniają się do odmienności tutejszych pustek i szaty naciekowej. Ogromny wpływ na ich dzisiejsze rozmiary miała woda o bardzo dużej zawartości CO₂, która docierała z powierzchni, a także gazy zawierające siarkę, wydobywające się z wnętrza naszej planety. Po wymieszaniu się tych składników powstawały kwasy przyspieszające znacznie znane nam z tatrzańskich jaskiń procesy rozpuszczania. Interesujące w tym wszystkim jest to, iż w procesie wytrącania obok CaCO₃ powstawały do 10 m grube pokłady gipsu (np. Glacier Bay czy Prickly Ice Cube Room w Lechuguilli). Stąd obok niesamowitego bogactwa kalcytowej szaty naciekowej w jaskiniach CCNP można również podziwiać cuda z gipsu (np. Chandelier Ballroom ze swoimi „żyrandolami” do 5 m długości).

Równie egzotyczne wydają się niektóre z niebezpieczeństw czyhające na grotolaza. Przede wszystkim dojścia do jaskiń nie należą do najłatwiejszych. Trzeba uważać na niemiłosiernie palące słońce i związany z tym upał lub na nagłe i krótkotrwałe burze, które potrafią obniżyć temperaturę powietrza zaledwie w ciągu kilku minut nawet o 25°C. Wreszcie na zwierzaki, które mieszkają w partiach przyotworowych jaskiń, np. tarantule, skorpiony lub grzechotniki, ich użądlenie lub ukąszenie nie powoduje śmierci, ale jest bardzo (!!!) bolesne, kończący się znaczną opuchlizną i miejscowym paraliżem oraz niezaplowaną wycieczką

do szpitala. Największą przyjemność, a zarazem strach może spowodować spotkanie w jaskiniach... pumy, która jest popularnym kotem w CCNP. Trudno tego zwierzaka wypatrzeć lub wytropić, jednak śladów jego bytności jest wszędzie pełno. A jak już się uda go zobaczyć, uwierzcie mi na słowo, to jest to jedno z najgłębszych przeżyć.

Innym zagrożeniem są choroby pochodzenia zwierzęcego – histoplazmoza szerząca się w koloniach nietoperzy lub hantavirus roznoszona przez gryzonia. Interesujące są też obserwacje dotyczące wścieklizny. Znotowano na terenie CCNP kilka przypadków zarażenia się tą śmiertelną chorobą przez drogi oddechowe, a nie jak ogólnie się uważa przez ugryzienie. Dlatego też wymagano ode mnie przed podjęciem pracy w Parku szczepienia przeciwko wściekliznie.

Teoretycznie pracowałam 40 godzin tygodniowo. Należały mi się także dwa dni wolne w tygodniu. Trudno jednak jaskiniować według takich wytycznych. Dlatego też przez pierwsze dwa miesiące nie miałam weekendu. Z prostych względów: było wiele zaległości w pracach, a ja chętnie robiłam wszystko. Niektóre z jaskiń znajdują się w odległości pięciu lub więcej godzin marszu od przejezdnych dróg, także rozmiary grot lub zadań wydłużały dzień pracy.

W zamian otrzymałam bezpłatne miejsce do spania, możliwość wzięcia udziału we wszelkiego rodzaju szkoleniach, komputer z e-mailem i 5 \$ za min. 6-godzinny dzień pracy. To tylko materialne korzyści. Nie zapomnijmy, że wolontariat w CCNP dał mi nowe przyjaźnie, udoskonalił znajomość angielskiego, pogłębił wiedzę z zakresu kartografii, geologii, mineralogii, biologii, archeologii, etc., a co najważniejsze dał szansę spełnić marzenia!

Byłam pracoholikiem przez cały czas wolontariatu, ale dzięki temu już na początku zdobyłam zaufanie moich czterech szefów. A bez tego ani rusz w CCNP. Wiele jaskiń lub prac w nich wykonywanych objętych jest ścisłą tajemnicą. Nie wolno mi mówić o kilku odwiedzonych przeze mnie grotach, używać ich nazw bądź opisać gdzie się znajdują. W takich jaskiniach zabronione jest fotografowanie na prywatny użytek. Nie wolno dzielić mi się informacjami np.: w której jaskini mieszkają pumy albo co w niektórych widziałam i mimo że na początku trochę mnie to drażniło, bardzo szybko zrozumiałam dlaczego tak daleko posunięte są środki ostrożności. Niestety, przyczyny znamy także z własnego podwórka. Nie ma świętości dla niektórych ludzi, jeśli chodzi o pieniądze, a w wielu grotach półpustyni Chihuahuan znajdują się przeapetyczne kąski dla mineralogów kolekcjonerów. Także kilku



Otwór wejściowy Carlsbad Caverns

chorych ludzi chodzi po świecie. Czynią oni okropności dla sprawienia innym przykrości. Wreszcie wielu dewastuje z powodu niewiedzy bądź czystej głupoty. Znanych jest wiele wstrząsających historii, np. wycięcie wszystkich nacieków kalcytowych (!) w McKitric Cave, na produkcję uzdrawiającej nalewki.

Ochronę jaskiń w CCNP utrudnia jego wielkość – 18.896 hektarów. Każdemu wolno chodzić poza wytyczonymi szlakami. Zezwolenie wymaga się tylko na wejścia do jaskiń i biwakowanie w granicach Parku. Pracownicy Parku nie są więc w stanie wszystkich upilnować. Dlatego zamyka się jaskinie kratami, jeśli rozmiary otworów wejściowych są w miarę rozsądne albo właśnie – nie mówi się o nich. Wiele złego czynią też publikacje prasowe, TV lub wykłady. Często formy podawania informacji i ich popularyzacja zachęca do „zaliczania” kolejnego znanego miejsca. A przecież każdy pobyt człowieka w jaskini wpływa destrukcyjnie na równowagę klimatyczną, bakteriologiczną, etc. Stąd sankcje w zakresie fotografowania czy dzielenia się wspomnieniami z niektórych miejsc.

Za zwiedzanie grot bez zezwolenia, wandalizm lub zaplanowane dewastacje grożą wysokie kary pieniężne (najniższa 250 \$ to dużo nawet dla Amerykanina), procesy, a w drastycznych wypadkach więzienie.

Kilka miesięcy 1998 roku spędziłam w „raju Gosiaczka”. Był to czas porywającej pracy, cudownych kontaktów z naturą i mieszkającymi tam ludźmi. „Moi” czterej szefowie: Gary, Dale, Jason i Stan zwrócił mi uwagę na wiele ważnych zagadnień związanych z jaskiniami, ich ochroną i całym tym „grotołożeniem”. Indianka Julia i przyroda półpustyni Chihuahuan nauczyły mnie szacunku dla natury i ludzi. Wielu pomagało mi spełnić marzenia. Tym wszystkim chciałabym podziękować. A także moim rodzicom, Jensowi oraz przyjaciółom

którzy wierzyli we mnie i w to, że zrealizuje moją obsesję.

Znowu tęsknię... Gosia z Kosiorów-Römer.

* Na terenie CCNP stworzono wiele przepisów chroniących jaskinie przed dewastacją. Oto kilka z nich: wolno używać tylko światła elektrycznego i obuwia nieznaczającego na czarno polew kalcytowych; wszelkie odchody wynosi się z jaskiń w spec-

jalnie przynoszonych na każdą akcję butelkach i workach; kategorię zabrania się: palenia papierosów i picia alkoholu, biwakowania wewnątrz jaskiń bez zezwolenia i w niewyznaczonych do tego celu miejscach, czesania włosów, pływania i mycia się w jeziorach; wodę do picia wolno pobierać tylko w wyznaczonych do tego miejscach i za pomocą znajdujących się tam naczyń; poruszając się tylko po wyznaczonych pomarańczową taśmą trasach, etc.

Pięćdziesięciolecie Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto”

W bieżącym roku Klub Wysokogórski „Trójmiasto” obchodził pięćdziesiątą rocznicę swojej działalności. Główne uroczystości rocznicowe odbyły się w październiku, jednakże już wcześniej, w ramach obchodów, w maju w Gdańsku Oliwie Klub zorganizował edycję zawodów o Puchar Polski we Wspinaczce Sportowej. Wspólnie z Oddziałem Sportu i Turystyki Muzeum Historycznego Miasta Gdańska 17 lipca została otwarta wystawa w Gdańsku w Baszcie na Zamurzu „50 lat Klubu Wysokogórskiego «Trójmiasto»”. Wystawa ta była czynna do października i cieszyła się dużą popularnością wśród wycieczek szkolnych.

Uroczyste spotkanie wszystkich byłych i obecnych członków Klubu, połączone z Walnym Nadzwyczajnym Zebraniem członków Klubu Wysokogórskiego «Trójmiasto» w Gdańsku odbyło się 21 października 2000 roku o godzinie 16.00 w Dworze Artusa przy Długim Targu w Gdańsku. Na spotkanie przybyło ponad 300 członków Klubu i zaproszonych gości. Spotkanie z wielką klasą poprowadził zaprzyjaźniony z Klubem znany aktor Jerzy Kiszkiś, który w kilku słowach na początku przypomniał historię Klubu. Po przedstawieniu krótkiej charakterystyki śp. Kolegów i Koleżanek, którzy zginęli w górach, symboliczną minutą ciszy uczczono ich pamięć jak i tych Kolegów, którzy odeszli śmiercią naturalną.

Następnie wszyscy obecni prezesi Klubu przedstawili swoje refleksje związane z prezesowaniem. Po kolei zabierali głos koledzy: Andrzej Gawęda, Antoni Hlavaty, Wacław Dudek, Krzysztof Kowalewski, Jan Dajnowski, Krzysztof Paul i Michał Kochańczyk. Niektóre wypowiedzi, jak Krzysztofa Paula i Andrzeja Wiejacha, były pełne emocji.

Po prezesach Klubu zabrał krótko i treściwie głos prezes Polskiego Związku Alpinizmu Wojciech Święcicki. Następnie wiceprezydent Miasta Gdańs-

ka Wacław Baliński wręczył Klubowi medal „Tysiąclecia Miasta Gdańska” oraz dyplomy i nagrody książkowe dziewiętnastu zasłużonym członkom Klubu. Dyplomy otrzymali: 1. Antoni Hlavaty, 2. Krzysztof Paul, 3. Maria Zieniawa, 4. Andrzej Marciniak, 5. Teresa Puchaczewska, 6. Anna Bartos, 7. Andrzej Raczyński, 8. Jan Dajnowski, 9. Krzysztof Aerts, 10. Magda Lewandowska, 11. Grażyna Brzezińska, 12. Wacław Dudek, 13. Bożena Szuszkowska, 14. Andrzej Wiejacha, 15. Waldemar Soroka, 16. Krzysztof Tarasewicz, 17. Andrzej Gawęda, 18. Jan Babicz, 19. Michał Kochańczyk.

Nadzwyczajne Walne Zebranie członków Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto” przyznało członkostwa honorowe koleżance Marii Zieniawie oraz koledgom Janowi Dajnowskiemu i Andrzejowi Gawędzie oraz podjęło uchwałę o corocznym spotkaniu członków klubu w rocznicę powstania Klubu – w ostatnią sobotę października. Koleżanka Teresa Puchaczewska, koledzy Krzysztof Paul i Wacław Dudek odebrali zaległe dyplomy członków honorowych.

Kol. Dorota Kobierowska-Dębiec zaprezentowała specjalnie wydaną jubileuszową „Księgę wspomnień w pięćdziesięciolecie Klubu Wysokogórskiego «Trójmiasto»”.

Pod koniec spotkania w Dworze Artusa zostały pokazane przezrocza obrazujące historię Klubu, przedstawiające kolegów najczęściej utożsamianych z Klubem. Kolorytowi spotkania dodawała góralska kapela „Kopa” z Zakopanego, której granie, rozdzielające poszczególne punkty zebrania, podkreślało górski charakter uroczystości.

Po części oficjalnej, dalsza część uroczystości odbyła się w szatach myśliwskim „Pan Tadeusz” w Chwaszczynie, gdzie przy suto zaopatrzonych stołach i tym razem żeglarskiej muzyce klubowicze bawili się do czwartej nad ranem.

Michał Kochańczyk



Andrzej Makarczuk

Zobaczyć klify

(pięć dni w Walii)

Budzi mnie zmiana tonacji silnika. Zjeżdżamy na stację benzynową. Wyglądam za okno – widzę ciemność. Niemcy? Belgia? Francja? Na zegarku 4 w nocy, jeszcze 8 godzin takiej męki. Toaleta, parę przysiadów dla poprawy krążenia i upakowani w autobusie jak sardynki ruszamy dalej. Mając prawie 190 cm wzrostu nie mieszczę się we własnym łóżku, a co dopiero mówić o siedzeniach rozstawionych z myślą o maksymalizacji zysku przewoźnika. Zapadam w drzemkę, pocieszając się nadzieją zobaczenia białych klifów Dover. Niestety, Kanał pokonujemy pod ziemią (morzem?) słynnym Eurotunelem.

W Londynie spotykam Tomka Klisia i już razem jedziemy koleją do Landudno. Tutaj w trakcie oczekiwania na busa poznajemy kilka osób z międzynarodowego towarzystwa zmierzającego, tak jak my, na International Climbing Meet w Plas y Brenin.

Królewskie Miejsce (jak należy rozumieć walijską nazwę) leży w sercu północnej Walii w górach Snowdon. „Jaka szkoda, że to nie Anglia” – powiedział do Tomka urzędnik imigracyjny na granicy. Góry przypominają nieco nasze Sudety, poprzecinane siecią starych dróg. Najbardziej widoczną różnicą są liczne murki ułożone z łupka, wygradzające pastwiska dla owiec. Takie same murki odgradzają też szosy, co sprawia że jazda samochodem po niewłaściwej (lewej) stronie drogi jest jeszcze bardziej emocjonująca.

Ośrodek jest doskonale wyposażony. Dwie ścianki wspinaczkowe, sklep i wypożyczalnia sprzętu, sztuczny stok narciarski, basen i tor przeszkód dla kajaków górskich. Na miejscu jest nawet pub. Do sklepu słynnego Joe Browna tylko 10 minut spacerkiem, a do pubu, na ścianie którego widnieją podpisy uczestników wyprawy na Everest z 1924 roku, tylko 6 mil.

W czasie naszego pobytu odbywały się jednocześnie trzy imprezy. Spotkanie wspinaczkowe,

seminarium „Making the Difference” o bardzo zróżnicowanym programie (uczestnikami był Wacław Sonelski) oraz zjazd Prezydium UIAA. Zajęcia wypełniały dni do końca tak, że czasu na sen brakowało. Po śniadaniu podział na grupy i wyjazd na wspinanie, powrót późnym popołudniem i po kolacji prelekcja. Wspinaliśmy się trzy dni, a dwa spędziliśmy na seminarium. Najciekawsze były chyba warsztaty z treningu wspinania lodowego na ścianie wspinaczkowej.

Międzynarodowe towarzystwo prezentowało przeróżny poziom wspinaczkowy, od dwóch dam z Iranu, nie mających szczególnego pojęcia o wspinaniu, przez średniaków takich jak my, do doskonałych Czechów. Tych ostatnich miałem niewątpliwą przyjemność obserwować w akcji na Dinas Cromlech, jak swobodnie przebiegali drogi o trudnościach E5 (około VI.4). Nie muszę chyba dodawać, że nie ma tam spitów.

Jeśli chodzi o nas, to gdy pierwszego dnia nasz opiekun zapytał, gdzie chcemy się wspiąć, odpowiedź mogła być tylko jedna: „Gohart”. I po-



Dinas Cromlech, Uanberis Pass w centrum zdjęcia słynny Cenotaph Coruer

wtarzało się to każdego dnia. Niestety, trudności transportowe sprawiły, że tylko raz było nam dane zmierzyć się ze słynnymi klifami wyspy Anglesey. Jakżeż żałowałem, że nie przyjechalibyśmy swoim samochodem.

Nie pamiętam już kiedy i gdzie po raz pierwszy zobaczyłem czarno-białą fotografię Eda Drummonda, trawersującego ściany Wen Zawn. Szarpane wiatrem 10 metrów liny pomiędzy nim a skulonym na stanowisku Dave Pearcem nie podtrzymywały żaden przelot. Dwadzieścia metrów niżej wzburzone morze usiłuje dosięgnąć prowadzącego falami, ale do Eda dociera tylko biała piana. Obraz jednoznacznie skojarzył mi się z „Ształem” Podkowińskiego. Istotna różnica jest jednak taka, że stworzyła go natura i ludzka odwaga, a nie wyobraźnia artysty, a droga otrzymała nazwę „A Dream of White Horses”.

W czasopiśmie „Climbing” ze stycznia 1998 przeczytałem relację ze wspinaczek na nadmorskich klifach północnej Walii. Mroźące krew w żyłach opisy dróg (słabe RP, asekuracja wirtualna, przedzwiałe haki) i zdjęcia nie zmniejszyły mojego entuzjazmu. Przecież oprócz takich horrorów jak „The Bells! the Bells!” muszą być tam drogi bardziej przystępne, łatwiejsze i bezpieczniejsze, takie na moje możliwości.

I w końcu udało się. Z trawiastego tarasu z widokiem na klif Goghart schodzimy stromo pod ścianę. Niepewne skalne stopnie, posypane żwirkiem, sprowadzają prawie pionowo w dół na ciąg platform na poziomie morza. W czasie przypiływu woda zakrywa je całkowicie. Trawersujemy wzdłuż klifu, częściowo się wspinając pomiędzy poszczególnymi półkami. Pogoda jest wspaniała: bezchmurne, słoneczne niebo, przenikliwy krzyk mew i łoskot fal, uderzających kilka metrów pod naszymi stopami, tworzą niezapomnianą atmosferę. Trzywyciągowa droga, nazywająca się tak, jak ten fragment klifu „Goghart” nie jest przesadnie trudna: E1, czyli mniej więcej nasze VI+. Ale jedno jest pewne – zjechać się nie da, bo platformy startowe powoli nikią pod wodą i fale zmyłyby nas do morza.

Po skończeniu drogi decydujemy się jeszcze na jedną. Trawersujemy trawiaste zbocza klifu dochodząc do Wen Zawn. Niestety, po zjechaniu na wiszące stanowisko okazuje się że zespół na drodze moich marzeń „A Dream...” wspina się bardzo powoli. Robimy więc sąsiednią „Wen”, o podobnych trudnościach VHS (VI-), a nieocenioną pomocą w minięciu maruderów okazuje się być mój 60-metrowy Mamut.

Nie sposób nie zadać sobie pytania, jak to się stało, że z jednowyciągowych kamieni, wyrastających z trawiastych zboczy Llanberis Pass, brytyjs-



Zespół brytyjski na drugim wyciągu drogi Vektor, E1, Tremada

kie wspinanie wyszło z sukcesami aż w Himalaje? Że osiągnęło tak wysoki, ceniony na całym świecie poziom?

Wydaje mi się, że odpowiedź leży w tradycyjnym podejściu do wspinania, w wymaganiu zachowania równowagi pomiędzy wysiłkiem fizycznym i psychicznym. W tym ujęciu to nie tylko gimnastyka na przyrządzie zwanym skałą, ale także cały złożony zespół umiejętności taktyczno-technicznych oraz zdolność do właściwej oceny ryzyka i chęci podjęcia go.

W epoce spitów, kucia, klejenia, zawodów i dopingu Wyspy Brytyjskie pozostały ostoją wspinaczki w jej dawnym, pełniejszym znaczeniu. Natomiast klify wyspy Anglesey są ostoją tradycjonalizmu w Wielkiej Brytanii.

Polski Związek Alpinizmu na spotkaniu wspinaczkowym zorganizowanym przez British Mountaineering Council w Plas y Brenin w północnej Walii reprezentowali: Tomasz Kliś, Andrzej Makarczuk i Wacław Sonelski. Spędziliśmy wspaniałe pięć dni, wspinając się w niezwykłych i pięknych miejscach i poznając wspinaczy z całego świata.

Gra w słowa

Dawna róża trwa w nazwie. Nazwy jedynie mamy.
U. Eco, Imię róży

W przewodnikach wspinaczkowych coraz częściej można spotkać dziwne nazwy nadawane nowym drogom (słowo „droga” w języku taterników nie ma, oczywiście, niczego wspólnego z jego znaczeniem potocznym – jest to, w ujęciu klasycznym, „logiczny ciąg miejsc możliwych do przejścia!”).

Dawno minęły czasy, kiedy nazywano je w stylu „lewym żebrzem skrajnej południowej ściany wschodniego wierzchołka góry X”. Nazwa (tytuł?) drogi przeszła ewolucję od suchego odniesienia topograficznego, poprzez uwiecznienie nazwisk zdobywców (np. droga Motyki, Stanisławskiego) do formy przypominającej bardziej krótki wiersz lub tytuł książki. Jednym z wcześniejszych przykładów poetyckiej nazwy jest choćby znana tatrzańska Orla Perć, nawiązująca do rzeczy niemożliwej – wydeptania lub używania ścieżki przez orły. Dziś w popularnych rejonach skałkowych nazwy dróg wypisane są farbą na skale, zapraszając do odczytania i interpretacji.

Być może w podobny sposób odczytywał te skojarzenia Bernard Amy, który w eseju *A poetics of Alpinism*² zwrócił uwagę na podobieństwo poezji i sportów wspinaczkowych. Nawiązując do wczesnych teorii badań literaturoznawczych Romana Jakobsona, Amy stwierdził, że zarówno wspinanie, jak i wypowiedź poetycka są komunikatami ukierunkowanymi wyłącznie na siebie i swój sposób wyrażania; nośnikami znaczeń nie służących do przekazu konkretnych informacji czy odniesień przedmiotowych. Przypomina to znaną odpowiedź Mallory’ego pytanego „Dlaczego?”, „Bo góry są”. Komunikat poetycki i zdobywanie góry są w tym ujęciu działaniami samocelowymi. Istotnie, alpinizm „stał się sobą” wtedy, gdy przestał służyć jakimkolwiek celom praktycznym – poszukiwaniu minerałów, skarbów, przemytowi czy polowaniom. Od tego czasu ta dziedzina działalności zbliża się do definicji podawanej przez Encyklopedię Francuską, która ujmuje alpinizm jako zdobywanie szczytów wbrew obiektywnym trudnościom, jakie nastrocza teren.

Pisząc o podobieństwach między poezją i wspinaniem, Amy zwrócił też uwagę na analogie między wytyczaniem nowej drogi i jej powtarzaniem a pisaniem wiersza i jego odczytywaniem. W początkowej fazie aktu twórczego wiersz jest środkiem wewnętrznej komunikacji poety z samym sobą. Drugi etap – to pisanie (tworzenie) dzieła sztuki, które później będzie odczytywane i interpretowane. Te następstwa można odnieść do wspinania. Najciekawszą chyba ilustracją tych analogii była działalność znakomitego niemieckiego wspinacza Wolfgang Gullicha. Na bazie studiów biologicznych i własnych obserwacji kinetyki ruchu w innych dyscyplinach sportu (koszykówka, gimnastyka artystyczna) stworzył on nowatorski system treningowy. Takie, angażujące całą osobę z jej umysłem i ciałem, przygotowanie do wspinania można rozumieć właśnie jako środek komunikacji z samym sobą, z własnym organizmem i jego możliwościami. Po rocznym cyklu treningowym Gullich poszukiwał problemu, który pozwoliłby na wypróbowanie nowych możliwości psychofizycznych. Tak powstała *Action Directe*, ówczesna najtrudniejsza droga skałkowa świata, nie mieszcząca się już w tradycynie przyjętej dziesięciostopniowej skali trudności UIAA. Nastąpiło już także odczytanie, interpretacja, ponieważ droga doczekała się już następnego przejścia. Trudno chyba wyobrazić sobie bardziej angażujące „czytanie”!

Sądzę, że dokładność „interpretacji” drogi wspinaczkowej rośnie wraz z obiektywnymi trudnościami terenu. Drogi łatwe można przejść na wiele sposobów, korzystając ze stopni i chwytów w miarę swych możliwości i fantazji. Na najtrudniejszych drogach liczba takich możliwych sekwencji ruchów maleje praktycznie do jednego. Tak więc – im trudniejsze „dzieło sztuki wspinaczkowej” „odczytujemy” – tym odczytanie to jest dokładniejsze. Nie oznacza to, że odczytanie takie nie jest twórcze, często właśnie odkrycie tego jedyne sposobu wymaga niemałej pomysłowości i inwencji.

Nazwa drogi jest pewnym komunikatem językowym. Wspomniany już Jakobson wyróżnił podsta-

wowe funkcje komunikatu językowego. Wśród nich znalazły się m.in. funkcja odniesienia (przedstawiania), emotywna, konotatywna (apelu) i estetyczna (poetycka). Funkcja odniesienia określa stosunek między komunikatem a tym, do czego się odnosi. Funkcja emotywna to relacja między komunikatem a nadawcą, komunikat pozwala na wyrażenie określonych emocji. Funkcja konotatywna to stopień, w jakim komunikat jest apelem do odbiorcy. To przede wszystkim na tej funkcji oparte są kody reklamowe. Poprzez funkcję estetyczną rozumie się stosunek, jakim komunikat związany jest sam ze sobą, na ile jest on nośnikiem własnych znaczeń.

Dotychczas, za Amym, wskazałem na funkcję estetyczną jako dominującą w poezji i alpinizmie. Przy założeniu, że ta właśnie funkcja dominuje współcześnie przy nadawaniu nazw drogom wspinaczkowym, można podjąć próbę oceny, jaką rolę mogą w tym procesie odgrywać inne, wyróżnione przez Jakobsona, funkcje.

Funkcja odniesienia obecna jest najpełniej w nazwach o których wspominałem na początku, a będących po prostu streszczonym opisem topograficznym. Obecnie zdarza się rzadziej, by przy nadawaniu nazw autor świadomie wysuwał na pierwszy plan tę funkcję komunikatu. Odniesienie włącza się częściej w grę wolnych skojarzeń osnutych wokół kształtu skały (np. „*Biodro dziewczycy*”, „*Dupa słonია*”). W skojarzeniach tych obecny jest często rubaszny taternicki humor, często naciągany do granic pomysłowości. Z drugiej strony, nazwy na pierwszy rzut oka zupełnie abstrakcyjne (np. „*Parada jedynek*”) zawierają odniesienia do sytuacji zaistniałej podczas wspinaczki („jedyńka” to nazwa haka skalnego specjalnego przeznaczenia). Warto chyba zauważyć, że zmienił się też punkt odniesienia z góry na własną osobę. Przykładami odnoszenia nazw do własnej osoby może być droga „*Ziejące Zasadzki*” poprowadzona przez Sebastiana Zasadzkiego, ps. „*Zieja*”, czy „*Betonowy Totalizator*” stworzona przez „*Betoniarza*”.

Funkcja emotywna widoczna jest w innych nazwach. Tytuły typu „*Pierdolony ogranicznik*” czy „*Krew, pot i łzy*” nie pozostawiają wątpliwości co do emocji przeżywanych przez ich autorów.

Funkcja apelu jest mniej widoczna, ukryta za innymi. Nazwy o dużych walorach poetyckich silnie oddziałują na wyobraźnię, stanowią swego rodzaju obietnicę nowych przeżyć, zmierzenia się z mitem, do rangi którego urastają niektóre drogi. Potencjalnie każda nazwa zawiera przekaz „*Just do it!*” (jest to zresztą nazwa jednej z dróg skalnych w USA). Magia nazwy może być jednym z czyn-

ników tworzących mody na określone drogi. Do zjawisk świadomego posłużenia się funkcją apelu w nazewnictwie zaliczyłbym także ukłony w stronę sponsorów. Nadawane w ten sposób nazwy są jednocześnie wyrazem wywiązania się z umowy, jak i reklamą dla sponsorującego. Z funkcją apelu wiąże się zjawisko specyficzne chyba dla światła wspinaczkowego – jest nim wyzwanie dla rywala, zawarte w nazwie. Przykładami mogą być nazwy takie jak „*Egzamin dla prawdziwków*” czy „*Śmierć kurduplom*”. Przesłanie jest jednoznaczne – „*przyjdź i spróbuj to powtórzyć*”.

Oczywiście, na pierwszy plan wysuwa się jednak funkcja estetyczna. Podobno po ukończeniu nowej drogi jeden z najlepszych polskich wspinaczy zapytano to, jak ją nazwie, pomyślał przez chwilę i odpowiedział: „*Ekspozycja Szatana*”. Na pytanie o powody odparł: „*Bo nazwy, k..., muszą być piękne*”. Jest to (przypadkowa?) zbieżność z poglądem Jakobsona, dla którego przekaz poetycki był takim komunikatem, który przyciąga uwagę własną strukturą. Także do zakresu działania funkcji estetycznej jestem skłonny zaliczyć zjawisko przyswajania przez nazwy dróg komunikatów poetyckich i sensów innych dziedzin twórczości. Wiele z nich nawiązuje do dzieł literackich, filmowych czy muzycznych („*Tyrannosaurus Rex*”, „*Nieznosna Lekkość Bytu*”, „*Thorin Dębowa Tarcza*”, „*Schody do Nieba*”) lub parafrazuje je („*Jądra Ciemności*”). Nierzadko zdarzają się zapożyczenia z filozofii („*Übermensch*”, „*Poza Dobrem i Złem*”). Jest to jeden ze sposobów, w które kultura przenika na teren sportu. Inną ciekawostką jest typowo postmodernistyczna gra słów przy tworzeniu nowych dróg. Ich nazwy nawiązują do już istniejących. W ten sposób na jednej skale sąsiadują ze sobą „*Mandala*” i „*Nelson Mandela*”, „*Znikający punkt*” i „*Znikający punkt*”, na Zamarłej Turni wariant „*Z motyką na słońce*” w sąsiedztwie drogi Motyki etc. Istniejące wcześniej nazwy stały się kontekstem, w który wpisano nowe. Sugeruje to zarazem istnienie swoistego kodu estetycznego, w którym jedną z podstawowych reguł jest oryginalność i dowcip. Gra słów odnosi się też do, czasem humorystycznych, zmian nazw. Posłużę się tu przykładem z taternictwa jaskiniowego: w jednej z jaskiń studnia nazwana przez odkrywców Ślepą została przemianowana przez kolejną ekipę eksploracyjną na Studnię Ślepych, gdy okazało się, że ma dalszy ciąg korytarzy.

Rzecz jasna, nie wszystkie nazwy dadzą się zaszufladkować w przedstawionych kategoriach. Wspomniana już „*Action Directe*” to nazwa francus-

kiego ugrupowania terrorystycznego. Gullich pyta-ny, dlaczego nazwał tak drogę, powiedział, że to po prostu terrorystyczny zamach na palce. Czym się kierował i która z funkcji komunikatu językowego była dla niego w tamtej chwili najważniejsza?

Tłumaczenie poezji w kategoriach czystej, ukierunkowanej na siebie autoekspresji jest niewystarczające, nawet dzisiejszy strukturalizm podchodzi

już do niej inaczej, przyznając prawo do przekazywania treści. A co ze wspinaniem?

¹ W. Sonelski, *W skale. Zasady alpinizmu*, Almapress, Łódź 1990.

² B. Amy, *A poetics of Alpinism*, w *The Mountain Spirit*, red. M. Tobias i H. Drasdo, The Overlook Press, Woodstock 1979, po polsku tłumaczenie części w: Bularz, Gliwice 1991.

STROME ŚNIEGI SHISHA PANGMY

Dla uczestników Gdańsko-Szczecińskiej Wyprawy Himalaje '99 nigdy nie ulegało wątpliwości, że zdobyli Wierchołek Środkowy Shisha Pangmy. Wbrew temu, co się nam imputuje, nie ukrywaliśmy też tego.

W czasie trwania wyprawy wielokrotnie rozmawialiśmy z Sierpami kilku innych ekspedycji, przebywających równolegle z nami w bazie. Kilku z nich brało udział w wyprawie na Shisha Pangmę po raz drugi czy trzeci. Od nich dowiedzieliśmy się, że od strony północnej głównym celem ataków jest wierzchołek środkowy, lepiej widoczny z bazy Yebokangal. Z rozmów wynioskowaliśmy także, że zarówno Sierpowie, jak i Chińczycy oba wierzchołki traktują równorzędnie, wejście zarówno na jeden, jak i na drugi uznając za zdobycie Shisha Pangmy. Po prostu od północy wchodzi się na wierzchołek środkowy, od południa na główny.

W czasie ataku szczytowego nie zśliśmy granią, jak czyni to większość zespołów (świadczą o tym poręczówki, jakich jest tam mnóstwo rozpiętych) lecz otwartym stokiem. Z miejsca, gdzie doczekaliśmy świtu, droga na oba wierzchołki wyglądała identycznie, a o naszym wyborze przesądziły bambusowe tyczki, widoczne po prawej stronie grani szczytowej. Zresztą jest tam jeszcze kilka innych kulminacji, z odległości kilkuset metrów nie różniących się zbytnio od siebie. Poszliśmy więc w kierunku najbardziej widocznej oznaki szczytu. Orientując się co nieco w topografii, zdawaliśmy sobie sprawę z faktu, że idziemy na Wierchołek Środkowy, jednak w świetle przeprowadzonych wcześniej rozmów kwestia: „środkowy czy główny” dla nas nie istniała.

Siedząc już na szczycie przekazaliśmy krótką bezpośrednią relację na antenę Radia Plus, będącego naszym mediapartnerem. Jerzy, przekazujący relację, zaczął ją słowami: „Siedzimy na Wierchołku Środkowym...”. Również kolejne media, które kontaktowały się z naszą bazą (wyprawa miała telefon satelitarny), otrzymywały wiadomość o wejściu na Shisha Pangmę Środkową. Niestety, alpinizm jest dosyć zamkniętą dyscypliną i relacjonujący nasze osiągnięcia dziennikarze nie znają się często na rzeczy. W mediach mówiło się o Shisha Pangmie.

Jedną z pierwszych osób w kraju, które dowiedziały się o naszym wejściu, był Józef Nyka, do którego zadzwonił przebywający wtedy w bazie kierownik wyprawy Waldek Soroka i poinformował o wejściu na Wierchołek Środkowy. Nyka potwierdził wówczas to, o czym była mowa wcześniej: od północy mało kto wchodzi na Wierchołek Główny i obecnie ocenia się, że jedynie 30% wejść od tej strony kończy się na głównym wierzchołku. Osobiście uważam, że liczba ta i tak jest zawyżona. Na pytanie Waldka, czy wobec tego mamy iść na główny, Nyka odpowiedział: „Po co?” Zaznaczam, że nie słyszałem tej rozmowy, a znam ją jedynie z relacji Waldka.

Gdy dwa tygodnie później wróciliśmy do kraju mniej się już mówiło o wyprawie, niemniej jednak gdziekolwiek się pojawiliśmy, czy w radio, czy na pokazach slajdów, padała nazwa Wierchołka Środkowego.

Pod koniec maja oddałem do druku w redakcji lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej” w Szczecinie tekst zatytułowany „Strome śniegi Shisha

Pangmy", będący reporterską relacją z wyprawy. Niestety, ostateczny kształt reportażu czy też obojętnie jakiego tekstu zależy zawsze od prowadzącego dany numer redaktora. W przypadku gdy się nie mieści na przeznaczony dla niego powierzchni, prowadzący sam dokonuje skrótów. Ponieważ „Gazeta Wyborcza” była jednym z patronów wyprawy, „Strome śniegi Shisha Pangmy” ukazały się zarówno w szczecińskim jak i gdańskim dodatku Gazety. Lecz choć materiałem wyjściowym był jeden tekst, oba reportaże różnią się od siebie i to w niektórych momentach dość znacznie. W Trójmieście zabrakło m.in. akapitu o Wierchołku Środkowym. Wszystkie te teksty skopiowałem, tak że w moim komputerze znalazły się trzy reportaże o wyprawie. Na nieść do Alka Lwowa wysłałem tekst najświeższy, a tym okazał się opublikowany później (początek lipca) tekst z „Gazety Morskiej” gdzie braku-

je wzmianki o Środkowym. **Przyznaję mój błąd i niedopatrzenie.** Nie zdawałem sobie zresztą sprawy, że wywołał on taką burzę, ze skrucą przyznaję, że „GiA” czytuję sporadycznie i dopiero niedawno dowiedziałem się, że nasze wejście wywołało tyle kontrowersji z podaniem w wątpliwość naszej uczciwości włącznie. Gdyby wiadomość dotarła do mnie wcześniej, na pewno bym zareagował.

Z drugiej strony nieporozumieniem jest traktowanie reportażu pisanego dla ludzi w większości niewiele mających wspólnego z górami (artykuł powstał z myślą przede wszystkim o czytelnikach „Gazety Wyborczej”) jako oficjalnego sprawozdania z wyprawy. Te napisał i do PZA przesłał kierownik wyprawy Waldemar Soroka.

Robert Wieczkowski

50-lecie Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu

Ustalenie daty powstania poznańskiego klubu wymagało wielu zabiegów i konsultacji. Wszystko wskazuje na to, że zebranie założycielskie odbyło się w grudniu 1950 roku. Powołano wówczas do życia Koło Poznańsko-Pomorskie KW PTT. Przewodniczącym – tak to wówczas określano – został Ryszard W. Schramm. W ten sposób powstał i przetrwał w niezłej kondycji do dzisiaj piąty klub w Polsce.

Pięćdziesiąt lat później wszyscy członkowie, przyjaciele i sympatycy mogli spotkać się w Poznaniu na jubileuszowym, szczególnie uroczystym zebraniu klubowym. W piątek, 24 listopada, celebrowano w kościele o.o. Dominikanów mszę św. w intencji tych, którzy zostali w górach na zawsze. Dzień później, już od godz. 15 wypełniać się zaczął obszerny hall w budynku PAN przy ul. Wieniawskiego. Zjawiły się wszystkie klubowe pokolenia. Można było obejrzeć wystawę fotograficzną i filatelistyczną, zakupić okolicznościowe upominki oraz największy rarytas spotkania – obszerne, książkowe opracowanie poświęcone historii Klubu.

Kulminacją uroczystości była diaporama pt. „50 lat działalności KW Poznań w górach” przygotowana przez Włodka Waligórę i Marka Zierhoffer'a i przez tychże autorów ze swadą komentowana.

Jubileuszowe spotkanie zakończył uroczysty bankiet w Gościńcu Myśliwskim. Były spotkania po latach, wspomnienia, tańce i... toasty za tych co pod Makalu.

Wspomniana monografia (258 stron plus wkładka z 28 zdjęciami) pod lakonicznym tytułem „Klub Wysokogórski w Poznaniu 1950-2000” dostępna jest dla wszystkich zainteresowanych. Wystarczy skontaktować się z Lilianą Rożek (tel. 061 852-94-25) i dokonać stosownego zamówienia. Warto!

Zbigniew Piotrowicz



W pierwszym rzędzie siedzą od lewej: Piotr Bittner, Janek Stryczyński, Bożena Gašiorowska, Antoni Gašiorowski, Maria Zierhoffer, Ryszard Schramm, Stanisław Zierhoffer

Fot. M. Rożek

Polska zima na Makalu

Nie ulega wątpliwości, że polscy himalaiści zyskali światową sławę dzięki swym osiągnięciom zimowym. Do nich właśnie należą pierwsze zimowe wejścia na Everest, Manaslu (Maciej Berbeka i Ryszard Gajewski z Zakopanego), Dhaulagiri, Cho Oyu (Maciej Berbeka i Maciej Pawlikowski), Annapurnę i Lhotse. Niestety, ostatni polski zimowy sukces miał miejsce w 1988 roku.

23 listopada 2000 wyruszyła polska zimowa wyprawa na Makalu (8481 m), której kierownikiem był Krzysztof Wielicki.

– Było to niejako preludeum do przyszłej wyprawy na K2 – powiedział lider.

Skład to wytrawni wspinacze starszego pokolenia.

– Młodzi wspinacze jakoś nie są zainteresowani wyjazdami w góry wysokie, a ja ze swej strony wolałem pojechać z doświadczonymi, wypróbowanymi kolegami – mówi Krzysztof Wielicki.

Uczestnikami wyprawy byli:

Krzysztof Liszewski (52 l.), inżynier geodeta, autor jednego z najszybszych wejść na Mount McKinley na Alasce. Wiosną tego roku na Everestcie musiał wyczołgać się z wysokości 8700 m z powodu ślepoty śnieżnej.

Roman Mazik (45 l.) lekarz z Zakopanego i od 18 lat ratownik TOPR. Uczestnik zimowej wyprawy na K2 i pierwszej zimowej wyprawy na Nanga Parbat, odkrywca jaskini Abisso del Pozze w Alpach Julijskich.

Jerzy Natkański (46 l.) i **Dariusz Załuski** (41 l.) z Warszawy, przewodnicy beskidzcy, organizatorzy wypraw trekkingowych w góry Azji, Afryki i Europy. W Karakorum weszli na dziewiczy szczyt Borondo Sar (6800) oraz na Gasherbrum II (8035). Darek Załuski jest również zdobywcą Cho Oyu (8152) we wrześniu tego roku, jego atutem będzie więc aklimatyzacja.

Maciej Pawlikowski (49 l.) z Zakopanego, ratownik TOPR, instruktor wspinaczki i przewodnik. Dwukrotnie zdobywca Cho Oyu – zimą i latem.

Wspinacz doświadczony i słynący z wytrzymałości w skrajnych warunkach.

Andrzej Samolewicz (51 l.), z racji udziału w trzech wyprawach na Nanga Parbat zwany „gazdą nangaparbatowskim”. Instruktor alpinizmu, właściciel firmy wykonującej usługi wysokościowe. Wspiął się, oprócz Himalajów, w Alpach, Kaukazie, Pamirze, Tien-Szan i Hindukuszu Afgańskim.

Piotr Snopczyński (50 l.), długoletni członek GOPR, dziś wiceprezes tej organizacji. Wspiął się w Alpach, Kaukazie i Himalajach.

Jarosław Żurawski (35 l.), najmłodszy uczestnik wyprawy. Wiceprezes KW Poznań, pracuje w biurze ochrony. Były komandos, rekordzista polski w grupowych skokach wysokościowych (7500 m). Wspiął się w Alpach, Pamirze, Tien-Szanie, Karakorum i Himalajach. Dwukrotnie uczestniczył w zimowych wyprawach Andrzeja Zawady na Nanga Parbat.

W Katmandu do wyprawy dołączył tajemniczy wspinacz z Gruzji **Gija Tortladze**.

Karawana dojsciowa pod Makalu trwa około dziesięciu dni i uchodzi za jedno z dłuższych podejść pod ośmiotysięcznik (dorównuje jej tylko karawana pod K2). Baza stanęła, zgodnie z planem, 3 grudnia na wysokości 4900 m.

Początkowo uczestnicy wyprawy planowali zdobycie Makalu bardzo trudną drogą, wiodącą północno-zachodnim filarem. Bazę wysuniętą założono w odległości 7-8 godzin marszu od stóp filara, co okazało się odległością dość kłopotliwą – pokonywanie tego dystansu zajmowało zbyt wiele czasu. Niestety, rozpoczął się okres nienajlepszej pogody (porywiste wiatry i wysoka górna granica śniegu) i to zmusiło wyprawę do zmiany planów. Wielicki zaproponował, by zaatakować górę inną drogą, czterokilometrową granią, będącą granicą między Tybetem i Chinami, zdobytą przez Japończyków w 1970 roku. Zwinięto więc, co zdążono założyć i przystąpiono do realizacji planu „B”. Niestety, wiatry były tak silne, iż po tym, jak związała duża część sprzętu biwakowego, i z tej drogi zarządono

odwrót. Ponadto uczestników wyprawy zaczęły nękać choroby – większość cierpiało na zapalenie górnych dróg oddechowych. Po raz trzeci kierownik zaproponował zmianę planów. Tym razem wspinacze atakować będą krnąbrną górę klasyczną, łatwą drogą francuską z 1955 roku, prowadzącą zachodnią ścianą na przełęcz Makalu La. Atak szczytowy

planowany był na pierwsze dni stycznia. Niestety, góra okazała się silniejsza od znakomitego zespołu i wyprawa nie odniosła sukcesu.

Opracowała Beata Słama na podstawie materiałów z konferencji prasowej zorganizowanej przez dziennik „Rzeczpospolita” oraz korespondencji Moniki Rogozińskiej.



Jaskinie i speleologia

Pierwsze przejście aktualnej głębokości Wielkiej Śnieżnej

Pomimo czterech lat, które upłynęły od połączenia Wielkiej Litworowej z Galerią Krokodyla w Wielkiej Śnieżnej (1 I 1996 r.), nie było dotychczas całościowego przejścia tak utworzonego systemu. Przez pewien czas uniemożliwiała je zamulenie, które powstało poniżej Szczeliny Agonii (czyli już w Śnieżnej), jednak w 1998 r. grotolazi z Gorzowa poszerzyli i udrożnili ten odcinek. Pozwoliło to na dokonanie przed końcem wieku przejścia na trasie: Wielka Litworowa – Galeria Krokodyla – Błotne Łącznie – Syfon Dziadka (tzw. suche dno – czyli nie wymagające nurkowania, na głębokości -785 m). Wzięli w nim udział Marcin Gala, Tomasz Fiedorowicz, Paweł Skoworodko i Jakub Panek ze Speleoklubu Warszawskiego oraz dwójka grotolazów francuskich: Philippe Bence i Fabrice Fillols. Przejście nastąpiło 14-15 grudnia 2000 r. z wykorzystaniem oporęczowania wiszącego w Wielkiej Litworowej i Galerii Krokodyla i trwało 21 godzin. W trakcie akcji sporo czasu poświęcono na próby działania bezprzewodowego systemu łączności podziemnej (Systeme Nicole).

Tak więc ciąg umożliwiający osiągnięcie maksymalnej głębokości stoi otworem, należy jednak

przestrzec przed zagrożeniem jakie stwarza korzystanie ze starych poręczówek w Galerii Krokodyla (zarówno ich wiek, jak i sposób powieszenia wywodzący się jeszcze z czasów eksploracji). A zaledwie dwóch tygodni brakowało, by pokonanie całej głębokości najgłębszej polskiej jaskini pozostało symbolicznym „problemem na nowe tysiąclecie”.

Rafał Kardaś

Nowy komin w Jaskini Śnieżnej

W dniach 3-5 grudnia 2000 r. zaatakowany został problem wspinaczkowy w najwyższej części Partii Animatorów w Śnieżnej. Marcin Gala (Speleoklub Warszawski) i Paweł Olek (KW Warszawa) wyeksplorowali 50 m komina. 10 m ponad półką, do której dotarli, widoczne jest obiecujące okno.

r.

34. Sympozjum Speleologiczne Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika

W dniach 20-22 X 2000 r. odbyło się w Tatrach kolejne sympozjum Sekcji Speleologicznej PTP im. Kopernika, zorganizowane we współpracy ze Słowakami: Muzeum Ochrony Przyrody i Jaskiń

w Liptowskim Mikulaszu oraz Słowacką Speleologiczną Spółnością /Oblasna Skupina Orava/. Obrady, w których uczestniczyło ponad 50 osób odbywały się w Kościelisku-Wojdytówce.

Referat wiodący na temat krasu tatrzańkiego wygłosił przewodniczący Sekcji Jerzy Głazek. Zebrani na Sympozjum wysłuchali blisko 20 referatów i komunikatów o najnowszych badaniach w jaskiniach tatrzańskich i w innych, poza Tatrami, rejonach jaskiniowych Polski i świata.

Podczas sesji terenowych uczestnicy sympozjum zapoznali się z systemem krasowym Brestowskiej jaskini po stronie słowackiej (oprowadzał V. Mikula). Po polskiej stronie omawiany był kras otoczenia Doliny Chochołowskiej – stare, górnicze sztolnie na Huciańskich Klinach (R. Jach), hydrogeologia (G. Barczyk) oraz geneza i geologia jaskini Szczelina Chochołowska (T. Nowicki). Tę ostatnią uczestnicy sympozjum zwiedzali w trzech grupach.

Jak co roku, z pomocą finansową Komitetu Badań Naukowych wydane zostały materiały sympozjalne.

Regina Kardaś

Nowe jaskinie w Pieninach właściwych

Opublikowane w „Taterniku” nr 1-2/2000 podsumowanie polskiego jaskiniowego roku 1999 warto uzupełnić informacją o odkryciach jaskiniowych dokonanych wtedy na terenie Pienin właściwych. Jesienią tegoż roku przy okazji kilku wycieczek Wojciech W. Wiśniewski natrafił w tym regionie na



Przechodzka Dziura

Fot. Wojciech W. Wiśniewski



Wypełniony liśćmi otwór schroniska w Łysinie.

Fot. Wojciech W. Wiśniewski

ok. 70 obiektów o charakterze jaskiniowym, z czego około 40-50 spełnia kryteria inwentaryzacyjne.

Mimo że jaskinie te są niedługie (największe raczej nie przekraczają długości 10 m), to jednak znaczna ich część ze względu na charakter jest bardzo interesująca. Wiele z nich ma genezę krasową, noszą wyraźne ślady modelowania przez płynącą wodę, a do zwiedzania niektórych, mimo tak niewielkich długości, potrzebne jest światło. Dotarcie do jednej z nowych jaskiń, której otwór ma wysokość ok. 5 m, wymaga ok. 8-metrowej trudnej wspinaczki (pionowy próg skalny) lub kilkunastometrowego zjazdu na linie. Niektóre z poznanych jaskiń są obecnie niemal niedostępne, gdyż ich otwory zostały zasypane gruzem lub wypełnione liśćmi wciąganyymi do środka przez powietrze. W części jaskiń występuje szata naciekowa, głównie z mleka wapiennego (czasem w bardzo ładnych formach), w jednej z jaskiń jest stalagmit talerzowy. W kilku jest obfite namulisko, w kilku też natrafiono na szczątki kostne różnych zwierząt i guano nietoperzy.

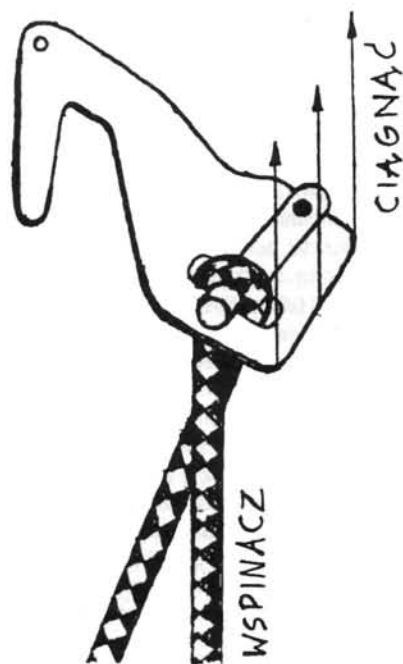
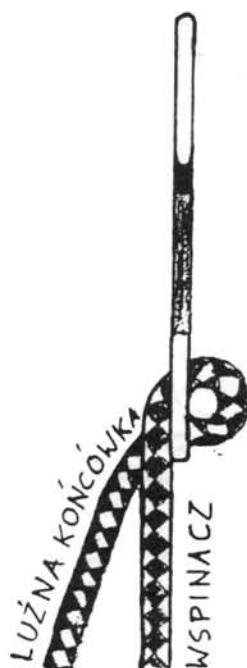
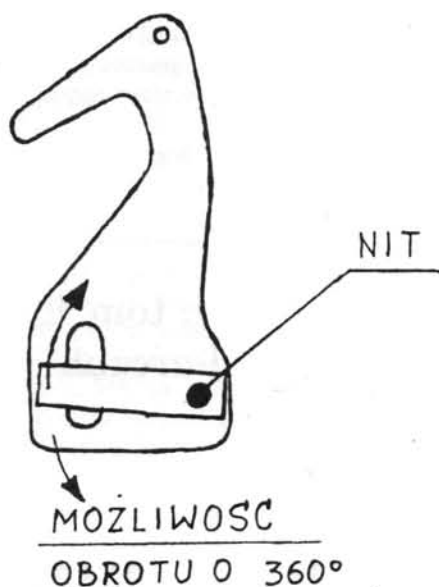
Część z tych „nowych” jaskiń to obiekty które były już wcześniej wzmiankowane w piśmiennictwie, niektóre już w wieku XIX, ale nie były znane autorom opublikowanego w 1995 r. inwentarza jaskiń tego terenu, którzy opisali 24 obiekty. Reszta, czyli znakomita większość z ok. 40-50 jaskiń poznanych w 1999 r., to obiekty dla nas nowe. Niektóre z nich to na pewno odkrycia, inne były zapewne już dawniej znane ludziom. W jednej z takich jaskiń znaleziono zardzewiałą już motykę i widoczne były ślady dawnych prac eksploracyjnych.

Na przyszły rok planowane jest przeprowadzenie inwentaryzacji wszystkich tych jaskiń.

Wojciech W. Wiśniewski

AKCESORIA

Latem bieżącego roku w sklepach ze sprzętem wspinaczkowym pojawiła się nowinka ułatwiająca życie miłośnikom baczania. Zmodyfikowaną fikkę, bo o nią chodzi, wyprodukowała rodzima firma Lhotse. Autorem patentu jest Jarek Caban, który prototypowy egzemplarz prezentował publicznie już wiosną 1997 r. Ulepszenie fikki polega na dodaniu poruszającego się wałka osadzonego za pomocą nitu (rys. 1). Sama obsługa fikki jest bardzo prosta.

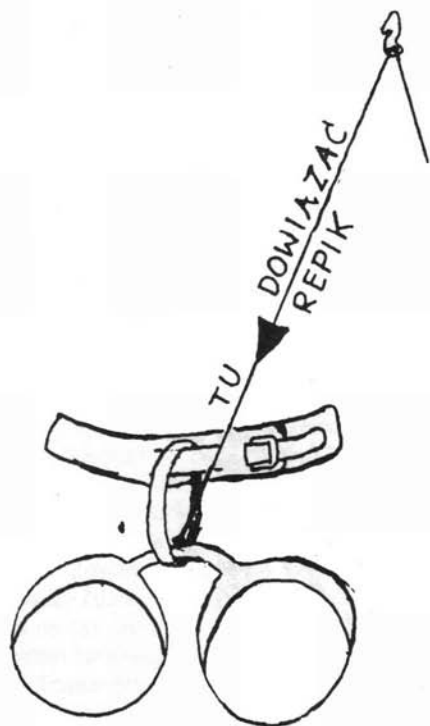


Zablokowanie w momencie obciążenia punktu przez wpinacza umożliwia odpowiednie przełożenie repika (identycznie jak w płytce przewodniczej, w Polsce nazywanej kaloryferem – rys. 2). Odblokowanie polega na odchyleniu fikki od dołu. W tym położeniu odciągamy ją na żadaną odległość od upręży i zawieszamy na karabinku (rys. 3).

Uwagi praktyczne.

Nie należy „dociągać się” maksymalnie do przełotu, jeżeli baczmy w regularnym dachu.

Kłopotliwe jest wówczas zdjęcie fikki z karabinka, w którym wisimy.



Mimo że producent sugeruje stosowanie repika 7 mm, to doradzałbym 6 mm. Siódemka „zacina się” i przesuwanie fiki jest bardzo uciążliwe. Z tego samego powodu dobrze jest używać repika miękkiego.

Rada dla mniej doświadczonych hakmenów: repik używany do fiki powinien mieć co najmniej 1,5 m długości. Jeden koniec przywiązujemy do uprząży do pasa udowego (rys. 4), dzięki temu możemy „dociągnąć się” nieco wyżej, poza tym uprząż mniej uwiera nas w plecy. W trakcie baczniejszego trudnych wyciągów korzystne jest używanie dwóch fik.

Sądzę, że zmodyfikowana fika – Jarek niestety nie nadał jej nazwy – przyjmie się wśród wspinaczy hakowych i zimowych, może być również pomocna drugiemu na linii przy przechodzeniu klasycznie trudnych długich dróg z wyladowanym, ciężkim worem. Główną zaletą jest prostota i łatwość przesuwania fiki oraz jej cena ok. 23 zł. Za rekomendacją można uznać fakt, że większość trudnych przejść hakowych tego roku w Moku odbyła się przy użyciu nowej fiki.

Bogusław Kowalski

Hejszowina – przewodnik wspinaczkowy; tom 1, Szczeliniec Wielki. Autor: Andrzej Makarczuk

Wydany jesienią tego roku przewodnik po najbardziej znanym rejonie wspinaczkowym polskich piaszczowców – Szczelińcu Wielkim opisuje stan eksploracji ścian masywów z aktualnością na maj 2000 roku. W odróżnieniu od poprzednio recenzowanego na naszych łamach przewodnika J. Kielkowskiego („Szczeliniec Wielki”) jego autorzy to stali bywalcy Hejszowiny, a po części autorzy opisywanych dróg. Bezpośrednia znajomość tematu oraz liczne grono redakcyjne są gwarancją rzetelnych i kompetentnych informacji. Z pewnością warto dodać, że druk sfinansowano z prywatnych, składkowych funduszy, a całe przedsięwzięcie jest „non profit” – pieniądze zebrane ze sprzedaży pierwszego tomu mają służyć do wydania kolejnych. Preprint tomu drugiego, obejmującego Białe Ściany, Stary Biwak, Kopę Śmierci i Narożniak jest już w konsultacji i powinien ukazać się na wiosnę 2001 r.

Część ogólna przewodnika omawia zasady

wspinania w piaszczowcach zawarte w porozumieniu pomiędzy Parkiem Narodowym Gór Stołowych a Polskim Związkiem Alpinizmu. Są one wzorowane na tzw. Regulaminie Saskim nie dopuszczającym jakiegokolwiek ingerencji w rzeźbę skalną oraz zakazującym używania haków, kostek, „friendów”, magnesji oraz asekuracji na wędkę. Zgodnie z tymi zasadami członkowie Kletter Klub Kesselturn w latach trzydziestych rozpoczęli eksplorację rejonu, zgodnie z nimi Czeši w latach sześćdziesiątych otwierali nowe drogi i zgodnie z nimi powstały opisane w przewodniku przejścia. Taka tradycja zobowiązuje!

W części przewodnikowej znajdziemy dokładne obrysy ścian północnych i południowych masywu Szczelińca w rzucie z góry wraz z zaznaczonymi wejściami w drogi oraz szczegółowy opis przebiegu prawie 200 wspinaczek z uwagami dotyczącymi asekuracji i jakości skały. Ten tradycyjny dla piaszczowców sposób opisu terenu dobrze się sprawdza



ze względu na niewielkie wysokości względne ścian i niezbyt gęstą siatkę dróg. Wspinaczki szczególnie godne polecenia oznaczone są gwiazdką, a niebezpieczne z uwagi na kruszyznę czy nie wystarczającą asekurację – wykrzyknikiem. Na schematach zaznaczono też zejścia z masywu, bo samodzielne odnalezienie ich nie zawsze jest łatwe. Nie opisano natomiast dróg na turniach wierzchołkowej Szczełińca, bowiem rejon ten jest objęty ścisłym rezerwatem. Przewodnik zamykają indeksy dróg i nazwisk.

Dystrybucję prowadzi Michał Szczepanik 0-42 684-21-51 (wieczorem) i sklepy wspinaczkowe.

Kronika towarzysko-filmowa

Fin de siècle w Morskim Oku

Nie jest sensacją fakt, że i w tym roku odbył się w Morskim Oku bal sylwestrowy. Był on jednak inny niż wszystkie, bo po pierwsze kończył się rok, wiek i tysiąclecie, po drugie nie było śniegu tylko deszcz, a po trzecie tuż po północy zabrakło na jakiś czas prądu, więc goście mogli wspaniale wczuć się w atmosferę końca wieku, ale XIX. Na uwagę zasługuje również fakt, iż przybyło do Morskiego Oka kilka osobistości, które rzadko sylwestra zaszczęcały swoją osobą. Przyjechał (z żoną i z dziećmi) Wojciech Kurtyka, który, jak wiadomo niegdzie nie bywa, a wywiadów udziela tylko wybrańcom, była również Anka Czerwińska. Wśród Wybitnych Wspinaczy Średniego Pokolenia dało się zauważyć tendencję przyjeżdżania z drzewem do lasu, z tym że „drzewa” raczej szłochaty w pokojach lub posyłały z kątów mordercze spojrzenia, podczas gdy Wybitni Wspinacze Średniego Pokolenia swoją uwagę poświęcali raczej sadzonkom (jeśli już trzymamy się metaforyki dendrologicznej). Jak co roku przyznano również Złote Jaja, jednak nie mamy szczegółowych informacji na temat laureatów. Wiadomo jedynie, że o ich przyznaniu decydował, nie licząc się z głosami Kapituły, Andrzej Skłodowski, w związku z czym proponujemy, aby w przyszłym roku on sam przyznawał swoje własne jaja, a Kapituła – ogólnospołeczne. W końcu mamy demokrację. Szersza i pełna skandalizujących szczegółów relacja z sylwestra w górach ukaże się być może w następnym numerze „Taternika”.

Rośnie pogłowię

Z radością donosimy, iż w Wigilię liczba członków KW Warszawa powiększyła się o niemowlę o nazwisku Paszczak. Rodzicami są Alicja i Artur (prezes KW) Paszczakowie. Rodzicom i dzieciątku składamy najlepsze życzenia, choć wyrażamy ubolewanie iż maleństwo urodziło się w Wigilię, ponieważ przez całe życie skazane będzie na otrzymywanie zbiorczych prezentów gwiazdkowo-urodzinowych.

„Vertical Limit”, czyli Izabella w himalajskich urwiskach

Pod koniec stycznia ukaże się na ekranach kin kolejny film, dzięki któremu sprawdzimy „Granice wytrzymałości”. Jego akcja rozgrywa się w Himalajach, podczas wyprawy na K2. Kilku członków wyprawy ginie pod lawiną, a trzy osoby uwięzione zostają w lodowej grocie na wysokości 8000 m. Zorganizowana zostaje akcja ratunkowa, w której uczestniczy kanadyjska lekarka Monique, grana przez Izabellę Scorupco... Zwiastun jest bardzo zachęcający i dowodzi, iż w filmie tym postanowiono pobić rekordy głupoty, pobicia których próbowano już i w „Sankcji na Eigerze” (asekuracja z puchówki) czy w „Na krawędzi” (strzelanie spitami w ścianę). Wspinacze powisają na linach niczym winogrona nad przepaścią bez dna, zwiastun pokazuje również alpinistę, który po wyskoczeniu z helikoptera (bez spadochronu) wbija się dziabkami w skałę. Życzymy mocnych wrażeń.

Beata Stama

Licencje instruktorskie na rok 2001

Podczas spotkania Komisji Szkolenia w dniach 9-10 grudnia 2000 roku ustalono, że opłatę za licencję na rok 2001 będzie wynosić **60 zł**.

W związku z wprowadzeniem w życie postanowień nowego regulaminu, w trybie wydawania licencji nastąpi kilka istotnych zmian:

– Licencje wystawione na rok 2000 **zachowują ważność do dnia 30 kwietnia 2001 r.**

– Opłata za nową licencję musi być wniesiona **do 31 marca 2001 r.** Po tym terminie uznamy, iż kolejdy nie wnoszący opłaty nie są zainteresowani uprawnieniami szkoleniowymi na sezon letni 2001 i zimę 2002 r. i **później licencje w roku 2001 nie będą już wystawiane.** Wpłaty należy dokonać na drukach rozsyłanych przez PZA z potwierdzonym członkostwem klubu lub na zwykłych formularzach, wpłaty, ale z potwierdzeniem na odwrocie przynależności klubowej (ewentualnie można też przesłać kserokopię legitymacji klubowej z aktualnymi składkami). Konto PZA: BIG Bank Gdański SA, IV O/Warszawa 11601120-5799-132.

– Po otrzymaniu wpłat KS weryfikuje dokumentację i **w ciągu miesiąca decyduje o wystawieniu licencji.** Licencje mogą nie zostać wydane kolegom wobec których wdrożono postępowanie dyscyplinarne zakończone zawieszeniem uprawnień, nie należącym do żadnego z klubów zrzeszonych w PZA oraz mającym długą przerwę w działalności szkoleniowej. **Nowa licencja ważna będzie od 1 maja 2001 r. do 30 kwietnia 2002 r.** Lista uprawnionych kolegów zostanie umieszczona w Internecie, zapewne też opublikowana w Tatarniku.

Zwracamy uwagę na punkt 10 regulaminu licencji, w którym zapisano, że **postugiwanie się tytułem instruktora PZA bez ważnej licencji powoduje konsekwencje dyscyplinarne.** Za postugiwanie się tytułem instruktora należy uznać **użycie go** we wszelkich rodzajach działań, takich jak np. prowadzenie zajęć z dziećmi, na sztucznych ścianach, imprezy integracyjne, działalność wspinaczkowa, prowadzenie szkół wspinaczkowych itp. Wzmiankowane konsekwencje dyscyplinarne mogą w skrajnych przypadkach przybrać postać zawieszenia lub nawet odebrania uprawnień. Postanowienie to oznacza istotną zmianę w podejściu do kwestii opłat licencyjnych. Intencją KS jest traktowanie licencji jako obowiązkowej składki związanej z przynależnością do określonej grupy zawodowej i możliwością powoływania się na ten fakt w różnego rodzaju celach komercyjnych.

W roku 2000 licencje wykupiły 83 osoby, co nie całkiem chyba oddaje ilość czynnych instruktorów.

Komisja Szkolenia PZA

Uchwała Zarządu Polskiego Związku Alpinizmu

W dniu 20 grudnia 2000 r. Zarząd PZA na wniosek Komisji Szkolenia PZA zawiesił uprawnienia instruktora wspinaczki skalnej Marcina Kacperka na okres roku, tj. do dnia 20 grudnia 2001 r.

Uzasadnienie

Powodem decyzji jest incydent, który miał miejsce w dniu 14 sierpnia 2000 r. na zachodniej ścianie Zadniego Kościelca na drodze WHP 94 wiodącej tzw. załupą „H”. Marcin Kacperk wszedł w drogę, a następnie wyprzedził znajdujący się w ścianie zespół kursowy wspinający się pod opieką instruktora Bogumiła Słamy. Mijanie znajdującego się w ścianie zespołu było rażącym złamaniem reguł bezpieczeństwa od lat przyjętych dla drogi WHP 94H, zakazujących stanowczo wchodzenia w drogę, zanim nie opuści jej poprzedzający zespół. Cztery osoby zostały narażone na ugodzenie kamieniami leżącymi ponad płytami, na końcowym odcinku drogi. Nikt nie może zakładać, że na pewno nie zrzuci kamienia w takim terenie, a na pewno nie może gwarantować tego przewodnik prowadzący przez to miejsce klienta. Ponadto nonszalancka asekuracja podczas mijania zespołu kursowego stanowiła ogromne zagrożenie dla wszystkich przebywających w ścianie w razie nieszczęśliwego obsunięcia w mokrym i śliskim terenie. Niekompetentnie prowadzona lina mogła zahaczyć o osoby znajdujące się poniżej i doprowadzić do sytuacji zagrożenia życia i zdrowia.

Zarząd PZA uznał postępowanie Marcina Kacperka za nieodpowiedzialne i dalece nieodpowiednie w przypadku osoby posiadającej stopień instruktora PZA. Dodatkową okolicznością obciążającą jest fakt, że Marcin Kacperk całkowicie zlekceważył prośby i ostrzeżenia Bogumiła Słamy, który pełni obowiązki obserwatora PZA do spraw bezpieczeństwa.

Do wiadomości:

Klub Wysokogórski Zakopane
Polskie Stowarzyszenie Przewodników Wysokogórskich

Pozwanie PZA do sądu

W Taterniku nr 1/2 2000 ukazał się słowniczek w którym jego autorka w jednym z haseł użyła nazwiska KŁ, co spowodowało pozwanie PZA do sądu za naruszenie dóbr osobistych w.w. Redakcja jest zdania, że należy zapoznać czytelników Taternika z poglądami powoda na tę sprawę.

Warszawa, dn. 12.12.2000
Do Sądu Okręgowego w Warszawie
Wydział Cywilny Al. Solidarności 127 Warszawa
Powód: Krzysztof Łoziński ul. Miodowa 20 m 3
00-246 Warszawa
Pozwany: Polski Związek Alpinizmu
Wydawca kwartalnika „Taternik”
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208
01-445 Warszawa

Pozew o ochronę dóbr osobistych

Wnoszę o:

1) zobowiązanie pozwanego Polskiego Związku Alpinizmu do zamieszczenia w kwartalniku „Taternik” przeproszenia i zarazem sprostowania następującej treści: „Redakcja »Taternika« przeprasza pana Krzysztofa Łozińskiego za zamieszczenie w numerze 1-2/2000 publikacji autorstwa Beaty Słamy, przypisującej mu słowa i czyny, które nigdy nie miały miejsca, a przedstawiające go w złym świetle jako człowieka i jako taternika. Jednocześnie, redakcja »Taternika« przeprasza pana Krzysztofa Łozińskiego za zignorowanie jego wniosku o zamieszczenie powyższego sprostowania i zamieszczenie zamiast niego w numerze 3/2000 pozornego sprostowania podpisanego przez Beatę Słamę zawierającego w istocie podtrzymanie wyżej wymienionych oszczerstw, a jedynie z zamianą jego nazwiska na jego przezwisko.”

2) zasądzenie od pozwanego na rzecz powoda odszkodowania za naruszenie jego dóbr osobistych w wysokości 20.000 złotych wraz z odsetkami ustawowymi od dnia 12.12.2000 do dnia zapłaty.

3) zasądzenie od pozwanego na rzecz powoda kosztów procesu według norm prawnych.

4) opatrzenie wyroku klauzulą natychmiastowej wykonalności.

5) rozpatrzenie sprawy również w nieobecności pełnomocnika pozwanego, a w razie jego niestawiennictwa o wydanie wyroku zaoczno, zaostrożonego rygiorem natychmiastowej wykonalności.

6) zabezpieczenie powództwa poprzez zajęcie tytułu prawnego do wydawania pisma „Taternik”, z wyłączeniem prawa do wydania numeru zawierającego sprostowanie o treści określonej w p. 1. pozwu.

Uzasadnienie:

Polski Związek Alpinizmu jest stroną pozwaną w innym procesie (o zapłatę) w którym reprezentuję stronę powodową. Proces ten PZA wyraźnie przegrywa, co sugeruję, że zamieszczenie w „Taterniku” treści naruszających moje dobra osobiste, jest formą odegrania się na mnie (zemsty) za wygrywanie procesu o zapłatę.

W „Taterniku” nr 1-2/2000 zamieszczono publikację „Słowniczek taterników i taterniczek” autorstwa Beaty Słamy zawierający następujący fragment:

Wyłozować kogoś, łozowanie – wystawić do wiatru (od nazwiska Krzysztofa Łozińskiego, autora słynnego powiedzenia: „Mogę iść, ale będą jaja!”) Łozuje się na coś: „na klamkę” (zabiera się klamkę od pokoju, w którym śpimy, partner nie może wejść i molestować nas, żebyśmy wstali), „na pogodę” (mimo słonecznej pogody wmawiamy partnerowi, że zaraz nastąpi gwałtowne załamanie), „na chorobę” (udajemy chorego). Jeżeli, nie daj Boże, będziemy zmuszeni do wyjścia, możemy wyłozować kogoś w trakcie wspinania. Do legendy przeszło łozowanie „na żytkę”; wmawiamy partnerowi, że pękła nam pewna tajemnicza, niewidoczna żyłka i zaraz wykrwawimy się na śmierć, zarządzamy więc wycof. Po powrocie do schroniska stan naszego zdrowia ulega gwałtownej poprawie.

W dniu 24.10.2000 zwróciłem się pisemnie do PZA, będącego wydawcą „Taternika” z żądaniem zamieszczenia sprostowania następującej treści:

„Redakcja »Taternika« przeprasza pana Krzysztofa Łozińskiego za zamieszczenie w numerze 1-2/2000 publikacji autorstwa Beaty Słamy, przypisującej mu słowa i czyny, które nigdy nie miały miejsca, a przedstawiające go w złym świetle jako człowieka i jako taternika.”

Moje pismo zawierało też żądanie wypłacenia odszkodowania w wysokości 20.000 złotych, z zaznaczeniem jednak, że sumę tą gotów jestem ob-

niżyć do symbolicznej wysokości 2.000 złotych, o ile zostanie wypłacona dobrowolnie, bez konieczności występowania na drogę sądową.

W odpowiedzi otrzymałem następujące pismo:

Informujemy, że zgodnie z sugestią Kolegi za-wartą w liście z dnia 24.10.2000 w najbliższym numerze „Taternika” zamieścimy stosowne sprostowanie.

*Hanna Wiktorowska
sekretarz generalny*

Wysłałem wówczas kolejne pismo, w którym przypominałem, że domagam się nie tylko sprostowania, ale także odszkodowania za naruszenie moich dóbr osobistych. Na pismo to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, natomiast w „Taterniku” nr 3/2000 ukazało się sprostowanie zupełnie innej treści i podpisane nie przez redakcję, lecz przez Beatę Słamę:

Ze wstydem przyznaję, że do „Słowniczka taterników i taterniczek” zamieszczonego w Taterniku numer 1-2 2000 wkraść się błęd. W haśle „wyłożować” mylnie podałam, że pochodzi ono od nazwiska Krzysztofa Łozińskiego. Po przeprowadzeniu rozmów z taternikami lat 70. ustaliłam, że chodzi o inną osobę o nazwisku Krzysztof Łoza. Przepraszam serdecznie.

Beata Słama

Rozwiązanie takie nie satysfakcjonuje mnie. Po pierwsze, przeprosza nie redakcja, lecz kto inny. Po drugie, treść przeproszenia jest inna niż ta, której się domagałem. Po trzecie, jest to taka forma przeproszania, w której wymawiając słowo „przepraszam” nadal się mnie obraża, zamieniając jedynie moje nazwisko na powszechnie znane przezwisko („Łoza”). Przewzisko to jest doskonale znane zarówno redakcji „Taternika” jak i autorce. Wiedzą też oni doskonale, że nie było innego taternika o nazwisku Krzysztof Łoza i w środowisku taternickim wszyscy wiedzą, iż pod takim mianem w dalszym ciągu chodzi o mnie (Jestem w tym środowisku postacią powszechnie znaną, choćby ze względu na dorobek górski). Jest to więc forma puszczania oka do czytelnika: „musimy przeprosić, bo grozi nam sąd, ale po cichu nadal podtrzymujemy oszczerstwo.”

Opisane w tekście Beaty Słamy wydarzenia i wypowiedzi nigdy nie miały miejsca i zostały całkowicie zmyślone przez niejakiego A.L., który, jak sam po latach przyznał, był tajnym i świadomym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa PRL. Był to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa fragment szerszych szykan wobec działacza opozycji antykomunistycznej. Oczernianie ludzi, takich jak ja, w ich środowisku, było rutynową formą szykan stosowaną przez SB.

Beata Słama powtórzyła jedynie te oszczerstwa i wiem, że nie jest ich oryginalną autorką, co jednak jej i redakcji nie usprawiedliwia. Elementarnym obowiązkiem dziennikarza i redakcji jest sprawdzenie, czy publikowane informacje są zgodne z prawdą i podanie ich źródła. W przypadku, gdy na temat przebiegu jakiegoś wydarzenia istnieje różnica zdań pomiędzy jego rzeczywistymi lub domniemanymi uczestnikami, obowiązkiem dziennikarza i redakcji jest poinformowanie czytelników o istnieniu różnych wersji, co do faktów. Beata Słama mogła napisać „jak twierdzi A.L. ...”, pod warunkiem jednak napisania także o tym, że ja te rewelacje demontuję. Beata Słama przedstawiła jednak całą sprawę tak, jakby miała niezbitą pewność, że to co pisze jest prawdą.

Autorka nie może mieć pewności, że twierdzenia A.L., zawarte w jego publikacjach są prawdziwe, bo konstruuje on swoje kłamstwa zawsze w ten sposób, że według jego wersji wydarzeń, nigdy nie było bezstronnego świadka, mogącego rozstrzygnąć, który z nas pisze lub mówi prawdę. Elementarnym obowiązkiem dziennikarza lub redakcji, w takiej sytuacji, jest zwrócenie się do drugiej strony konfliktu i umożliwienie jej przedstawienia swojego poglądu lub wersji. Ani Beata Słama, ani redakcja tego nie zrobiła.

Redakcja „Taternika” nie może nie wiedzieć o tym, że wielokrotnie zamieszczałem w prasie środowiskowej sprostowania rewelacji głoszonych przez A.L., bo sprostowanie takie zamieszczone było także w „Taterniku”.

Żądaną wysokość odszkodowania uzasadniam tym, że pozwany PZA jest instytucją bardzo bogatą, która nie odczułaby żadnej dolegliwości niższej kwoty oraz wyjątkową złośliwością postępowania pozwanego.

Wniosek o zabezpieczenie powództwa uzasadniam dwoma względami: 1) dotychczasowe postępowanie strony pozwanej pozwala przypuszczać, że w kolejnych numerach „Taternika” mogą być zamieszczane kolejne paszkwile na mój temat; 2) w czasie pertraktacji, jakie toczyłem z pozwanym zarządem PZA w wymienionej już innej sprawie o zapłatę, zapowiedziano mi, że nawet jeśli wyrok

będzie dla reprezentowanej przeze mnie strony korzystny, to PZA go nie wykona, oraz że dołoży starań, by zdyskredytować mnie w środowisku. Jeśli ktoś zapowiada, że nie wykona wyroku sądu w innej sprawie, to może nie wykonać go i w tej. Dlatego zabezpieczenie powództwa uważam za konieczne.

Krzysztof Łoziński

Polskie Stowarzyszenie Przewodników Wysokogórskich

zawiaadamia, że

egzaminacje wstępne do Stowarzyszenia odbędą się w niżej podanych terminach:

1. 26-27 lutego 2001 r. – egzamin narciarski
2. 19-20 marca 2001 r. – wspinanie w lodzie i miksie
3. 11-12 czerwca 2001 r. – wspinanie w skale

Szczegółowych informacji udzielamy pod numerami telefonów:

1. Piotr Konopka, 0-18 201-42-61
0-601 207-659
e-mail: biuro@k2.zakopane.pl
2. Mieczysław Ziach, 0-18 208-42-99
090 309-512
e-mail: mziach@topz.zakopane.pl

Za komisję techniczną PSPW
Mieczysław Ziach

Oświadczenie

Oświadczam, że w przewodniku Taty, tom VI „Młynarz”, zamieściłem bez swojej wiedzy 48 rysunków autorstwa Andrzeja Gierycha.

Władysław Cywiński

W odpowiedzi na pozew

Zarząd PZA zdecydował aby przedstawić czytelnikom Taternika treść pozwu w całości. Autor tego dokumentu stwierdza między innymi, że nigdy nie istniał taternik o nazwisku Łoza. Jestem skłonny podzielić ten pogląd, gdyż czas zaciera ostrość widzenia wydarzeń sprzed ćwierć wieku. Mieszają się fakty, mylą się nazwiska z przezwiskami. Mogli się też mylić rozmówcy Beaty Słamy. Nie jest więc wykluczone, że dwóch Krzysztofów: Łoziński i Łoza to jedna i ta sama osoba. Jest jednak faktem, że z osobą Krzysztofa Łozińskiego vel Łoży wiążą się liczne, na ogół śmieszne anegdoty, które były powszechnie znane już w połowie lat 70., a więc w czasach, kiedy SB zajmowała się raczej innymi osobami niż bywalcy taboriska przy Morskim Oku. Ponadto należy uczciwie stwierdzić, że dorobek górski Krzysztofa Łozińskiego nie znalazł jeszcze uznania w oczach historyków taternictwa. Na razie trwają dyskusje na temat pierwszeństwa na niektórych ścianach, spory co do rzeczywistego przebiegu dróg oraz ich trudności, a ponadto (o zgrozo), ciągle nie są rozwiązane wątpliwości w kwestii prawdziwości niektórych relacji. Nie ma się zresztą czemu dziwić, gdyż zwłaszcza w przypadku przejść dokonywanych samotnie, opinia publiczna często nie daje wiary nawet bardzo wybitnym alpinistom. Wystarczy wymienić Karola Englisha, Cesare Maestriego czy Tomo Cesena...

Pozew o ochronę dóbr osobistych nie będzie pierwszą sprawą przeciwko Polskiemu Związkowi Alpinizmu. Od pięciu lat przed różnymi sądami w Warszawie toczy się proces o zapłatę, który wytoczył Krzysztof Łoziński najwyraźniej niezadowolony z rozliczeń finansowych związanych z wydaniem kwartalnika „Taternik”. Wielokrotnie stawałem w tej sprawie jako świadek. Chciałbym na przyszłość uniknąć uciążliwych i czasochłonnnych spotkań z wymiarem sprawiedliwości. Dlatego apeluję do Krzysztofa Łozińskiego, aby zechciał zrozumieć, że różne środowiska, zarówno małe jak całkiem duże mają skłonność do kreowania różnych postaci często bez ich wiedzy i akceptacji. Także i wśród taterników nie brakuje „bohaterów z naszego romansu”. Niektórzy są wielcy, niektórzy mali, niektórzy tylko śmieszni. Ale żyją w anegdocie! I co więcej żyć będą, gdyż stali się postaciami legendarnymi. Krzysztofie, nie obrażaj się. Historia „tojanów” lat 70. jest już napisana. Zająłeś w niej swoje miejsce. Może jest inne niż sobie wymarzyłeś, ale nic się już z tym nie da zrobić.

Wojciech Świącicki
p.o. prezes PZA

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI



Instruktorzy PZA:

Wojciech "Dozent" Wajda
(0-71)328 2242, 0-601 313 716
wtwdoz@priv2.onet.pl
Tomasz Kliś, (0-71)328 4622,
0-601 892 922, tomasino@polbox.com
Piotr Jaśkiewicz, (0-75)782 4162,
0-601 532 223

7-dniowy kurs przygotowawczy do
szkolenia tatrzańskiego.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne w
skałkach i górach.

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWIA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):
Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz
Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa
Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE
01-691 Warszawa
ul. Gdańska 22, tel 839-87-85, 0-604 941-136
e-mail: kapelus@mail.uw.edu.pl

*Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teks-
ty na komputerze, o przekazywanie ich w for-
mie dyskietek (zwracamy) w programie TAG,
Page Maker, Word For Windows, Ami PRO*

CONTENTS

- 1 – I saw condors
- 5 – Around Mount White
- 8 – The Tatras Main Ridge – the first
route
- 13 – Madagascar – climbing in paradise
- 14 – Two hundred seats at the table
- 16 – Volunteers in CCNP
- 19 – 50 th Anniversary of Trójmiasto
Mountaineering Club
- 20 – To see cliffs
- 22 – Word-ames
- 24 – Shisha Pangma steep snows
- 25 – 50 th Anniversary
of Mountaineering Club of Poznań
- 26 – Polish winter on Makalu
- 27 – Caves and speleology
- 29 – Accesories
- 30 – Hejszowina, climbing guide
- 31 – Film and gossip column
- 32 – Instructors; licences
- 33 – Suing PZA

TURYSTYKA - ALPINIZM

CAVE SPORT

Pierwszy sklep alpinistyczny na Dolnym Śląsku

OFERUJEMY:

- Różnorodny sprzęt do wspinania latem i zimą
- Ekwipunek na każdą wycieczkę i górską wyprawę
- Bogatą kolekcję odzieży górskiej i turystycznej
- Miłą i profesjonalną obsługę oraz realizujemy zamówienia indywidualne



Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 372-58-38

Sklepy Firmowe  alpinus
Wrocław, ul. K. Szajnoch (róg Gepperta), tel. (0-71) 372-36-31

JELEŃ GÓRA, ul. Krótko 3, tel. (0-75) 753-41-91

Więcej informacji na stronie: www.cave.com.pl

DLA STAŁYCH KLIENTÓW ZNIŻKI

TERAZ WIERZYSZ GOŚKA, ŻE SĄ JEDNAK
MOMENTY, KIEDY NIE MYSLĘ
TYLKO O DUPIE!



CZY PLUS CZY MINUS

Wiele razy byłem już na szczycie
ale nigdy nie zastałem tam
tabliczki z napisem
„Koniec Świata”.

Dlatego zawsze wracam do domu,
przebieram się, jem
i zasypiam.

Nazajutrz niesie mnie
szukać dalej...

*Piotr Pustelnik
himalaista*

ZAWSZE



alpinus

<http://pza.org.pl>
Alpinus SA, 41-600 Świętochłowice, ul. Ceramiczna 2

